Nr. 18. Warszawa, dnia 18 (30) Kwietnia 1898 r. Rok XVIII.

PRAWDA

FILOZOFIA · NAUKA SPOŁECZNA · NAUKI PRZYRODNICZE · HISTORYA · JĘZYKOZNAWSTWO · SZTUKA

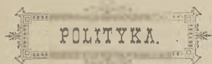
TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“ (wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 60, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.



NAPRAWDĘ — WOJNA.

Uchwała obu Izb kongresu waszyngtońskiego, zapadła nad ranem d. 19 b. m., nazajutrz już znajdowała się w rękach posła hiszpańskiego, Barnabé'go, a telegraficznie doszła i do gen. Woodforda, przedstawiciela Unii w Madrycie. Hiszpan odrazu opuścił Waszyngton, Amerykanin ociągał się i dopiero w d. 21 b. m. wyjechał do Paryża. Przed rozstaniem się z Hiszpanią był on uderzająco uprzejmym: wbrew zwyczajom zażądał nawet posłuchania pożegnalnego u królowej, a siedząc już w wagonie, wychylił się jeszcze umyślnie, aby przynajmniej kapeluszom dać symbol swym uczuciom. Szczerszy od niego lud madrycki w kilka godzin później pozdzierał oznaki i godła amerykańskie z gmachu zamorskiej instytucyi ubezpieczeń, „Equitable,“ i jak pierwej na dworcu, tak i teraz na ulicy musiano go trzymać w karbach, aby się nie rozpasał. Ta z obu stron tak odskakująca od siebie psychika daje dla każdej z nich ton zasadniczy ich pobudek przedwojennych: wielka rzeczpospolita amerykańska podejmuje wojnę z zimną rachubą; Hiszpania bierze ją na gorąco, namiętnie, z niepowstrzymanym a zarazem nieopatrznym rozpędem, właściwym każdemu uczuciu.

Rozpędu takiego niema w Stanach Zjednoczonych, choć one to właśnie, występując zaczepnie, przedstawiają pierwiastek czynny, twórczy, wyładowują z siebie energię, ta zaś z samej natury swojej, zanim się na zewnątrz rozpostrze, musi pierwej z głębin własnej swej indywidualności się wydobyć, przejąć ją nawskroś, stać się niejako żywiołową jej syntezą. Energia Stanów Zjednoczonych w danym wypadku nie potrzebowała takiego procesu wewnętrznego, aby się uzewnętrznić. Namiętność, która ją poruszyła, jest czysto kupiecką, lodowatą: nie czyn się spełnia, ale robi się interes, a interes potrzebuje tylko rachunku, zimnego rachunku. Potrzeba być bardzo naiwnym przez wiarę w człowieka zbiorowego i nieznajomość dziejów amerykańskich, aby w obecnym porywie wielkiej rzeczpospolitej dopatrywać się jakichś idealnych pobudek: litości nad losem kreolów, murzynów i mulatów kubańskich, czystej, szlachetnej pomocy dla powstania, zapału dla wolności i nienawiści ku ciemięztwu. Rozbestwienie się materyalistyczne — bierzemy je w znaczeniu najogólniejszem, najbardziej syntetycznem — czyni Stany Zjednoczone niezdolnemi do wszelkiego idealizmu, który *in thesi* tylko w każdej rzeczypospolitej i każdej demokracyi znajduje dla siebie grunt przyjazny. Myśl może sobie stawiać tezy najlogiczniejsze: życie, natura ludzka, cały ten kłąb żywy bezwiednych sił działających w człowieku opracowywać ich nie przestanie na własny swój, nielogiczny, logice czystej urągający sposób. Nieskończenie silniejszą jest w życiu zbiorowem logika nieczysta, z faktów, ze spełnionych czynów, z tryumfującego samolubstwa *ex post* wyżymana.

Przypuśćmy, że Stany Zjednoczone nie są od innych narodów i państw gorsze: na siłę rozpędową ich polityki względem Kuby i Hiszpanii pozostanie jedynie tylko ta żądza, którą w w. XVII Hobbes ujmował w przysłowie *Homo homini lupus.* Wilk ten ma w danym wypadku postać kupca. Kraj wielkich krezusów, królów kolejowych, bawełnianych, naftowych itd. musi być krajem namiętnych pląsów około złotego cielca, chciwości sięgającej po wszystko, co się na złoto da przerobić, zabiegów zmierzających do rozszerzenia złotodajnego warsztatu. Kuba, większa od Królestwa, ma zaledwie 9% powierzchni uprawnej, ale na niej mimo niedołężnej uprawy, produkuje tyle cukru, tytoniu, kawy, że przy dobrej sprawności ekonomicznej mogłaby zaspokoić w zupełności, w zakresie dwóch pierwszych przedmiotów spożycia, potrzeby całego związku. Niespełna 1,800,000 jej ludności obecnej przy przedsiębiorczości tych „Bladych Twarzy“ — a krzepkich rąk, które teraz wojnę z Kubą podjęły — w ciągu lat dwudziestu przez immigracyę wzrosłoby w trójnasób. W łonie gór i podgórzy kubańskich ukrywają się może bogactwa naturalne, wobec których wydobywana dziś miedź jest tylko chudobą biedoty. Złoto nawet, dziś, już tylko legendowe, za Kolumba rzeczywiste, — możeby z głębin ziemi wyjrzało, gdyby w nie zapuścił się świder i oskard amerykański. A przytem wszystkiem i przyrost geograficzno-statystyczny, wzmożenie się miąższu rzeczypospolitej, nie może być obojętnem, musi nawet silną stanowić podnietę.

Kupiecka polityka, której myśliciele zachodni — przypomnimy tylko gandawskiego Laurenta — przed pół wiekiem już oddawali przyszłość świata, nie da się ani zrażać niepowodzeniem, ani znużyć przeciągłością walki. Rzeczpospolita, podejmując wojnę zaczepną, w istocie zdobywczą, bo mającą oderwać Kubę od Hiszpanii, wytyka sobie cel obcy swemu jestestwu, właściwy tylko mocarstwom militarnym: niewątpliwie zatem chromać, potykać się i upadać będzie; ale ostatecznie jej wielkie, 70-milionowe ciało na 160,000 mil kwadr. rozpostarte — zwycięży. Wojna sama rozpoczyna się w stylu raczej kupieckim, niż wojennym. Wierni tradycyi z czasów przewagi południa nad północą, Samy i Jonathany dzisiejsze chcą Hiszpanię zarówno wewnętrznem wzburzeniem, może konstytucyjnym rozkładem, jak i zewnętrznem osaczeniem tak przytłoczyć,

aby kupiecka propozycya sprzedania wyspy stać się mogła kluczem, otwierającym ojczyznie Cyda jedyne wyjście z ciemnicy utrapień i niedoli. Kto wie, że już w r. 1825 uczuwali Amerykanie apetyt na Kubę, że w r. 1845 w kongresie wnosili nabycie, że w rok później gromadzili 200-milionowy fundusz, że w r. 1854 ich mężowie stanu jedyne uporządkowanie stosunków z Hiszpanią wskazywali w odstąpieniu wyspy za gotówkę — ten stale przed oczyma mieć będzie możliwość takiego kupieckiego załatwienia sprawy, z form swoich politycznej. Nie będzie to interes zły i dla Kuby; owszem, jeśli tylko idealny węzeł z dawną macierzą okaże się już stanowczo starganym, jeżeli kreol i kwinteron na równi z murzynem, pardonem i zambonem uczują energiczną potrzebę, organiczną wolę oderwania się od dawnego złego — cała Kuba w nowem dobrem znajdzie rzetelne dobro samoistności. I duchowy i umysłowy i materyalny dobrobyt jej wzrośnie w związku z wielką rzeczpospolitą; lepiej jej nawet będzie jako 47-mu stanowi Związku, niż-by być mogło jako niepodległemu państwu, gdyby rząd waszyngtoński, wywalczywszy wyspę orężem czy złotem, dotrzymać miał danego słowa i po uporządkowaniu stosunków publicznych uczciwie zostawił ją własnej jej woli i własnym jej siłom.

ROZWÓJ POLITYKI KOLONIALNEJ.

Wojna na Kubie, wyprawa Anglików do Sudanu, zawikłania chińskie są tylko pojedynczemi ogniwami tej samej dążności — wszędzie chodzi o tak zwaną sprawę kolonialną. Od dwóch prawie dziesiątków lat kwestya ta znajduje się bezustannie na porządku dziennym i według wszelkiego prawdopodobieństwa winniśmy od niedalekiej przyszłości spodziewać się jedynie jej wzmożenia. Punkt ciężkości polityki międzynarodowej przeniósł się do krajów egzotycznych. Afryka, Chiny, Korea i inne terytorya pozaeuropejskie zaczynają stanowić przedmiot sporny pomiędzy państwami Europy.

Wobec takiego zaostrzenia sprawy kolonialnej lub, jak należałoby wyrazić się dokładniej: rynków zamorskich, nie będzie od rzeczy zastanowić się nad rozwojem dążności kolonialnej. Od okresu najwcześniejszego do chwili obecnej.

Trojakiego rodzaju czynniki współdziałają w okresie nastania wielkich odkryć, ażeby pchnąć Europę na drogę polityki kolonialnej. Jest to rozwój sztuki żeglarskiej, najazd Turków na naszą część świata i wreszcie przeludnienie, skutkiem wywłaszczenia kmieci i drobnej szlachty z ziemi. Taki sam nadmiar ludności niegdyś przyczynił się dużo do wypraw krzyżowych; ale w w. XVI i XVII drogę na Wschód zamknęli Turcy, którzy zająwszy pewną część morza Śródziemnego, uniemożliwili jednocześnie handel z Indyami. Wojny husyckie i waśnie religijne z czasów reformacyi pochłonęły ów nadmiar w Europie środkowej; w krajach zaś, leżących wzdłuż oceanu Atlantyckiego, żywioł ten dostarczył awanturników, którzy puszczali się na odkrycia i rabunek krajów zamorskich. Tacy śmiałkowie wynaleźli drogę dokoła przylądka Dobrej Nadziei i odkryli Amerykę.

Europejczycy znajdują za morzem olbrzymie przestrzenie, obfitujące w rozmaitego rodzaju bogactwa i, co ważniejsza, bezbronne. Istotna gorączka ogarnia Portugalczyków i Hiszpanów; wszystko, co tylko jest energiczniejszego i przedsiębiorczego w tych krajach, udaje się do nieznanych krajów szukać szczęścia. W Ameryce Południowej i w Indyach Przedgangesowych zjawia się wyzysk tubylców, nieznający żadnego hamulca. Portugalczycy zmonopolizowali handel korzenny, Hiszpanie w kopalniach kruszców szlachetnych znaleźli niewyczerpane na razie źródło bogactw. Oba narody zazdrośnie ochraniały swoje zdobycze: okrętom cudzoziemskim nie wolno było pojawiać się na wodach, należących do Hiszpanii i Portugalii, przedstawicielom zaś innych krajów osiadać w koloniach. Po kilku dziesiątkach lat ujawniły się opłakane rezultaty podboju: upadek kulturalny obu państw. Polityka zaborcza jedynie zwiększała tam ciężary, spoczywające na ludzie, i mnożyła ucisk. W Portugalii monarcha był największym kupcem, jedynie do niego należał handel pieprzem i tylko na okrętach, będących własnością korony, wolno było przewozić towary. Przemysł na półwyspie Pirenejskim, prześladowany nadto z pobudek religijnych, zaczął upadać; każdy junak wolał za morzem szukać szczęścia, niż całe życie pracować w mierności. I dzisiaj jeszcze nieliczne kolonie, które pozostały pod rządem państw pirenejskich, są tam najgłówniejszą podporą reakcyi klerykalno-militarnej; utrata zaś Kuby i innych posiadłości kolonialnych przez Hiszpanię będzie wprost wygraną postępu. Upadek potęgi Hiszpanii i Portugalii tkwił w wyzysku krajów nowoodkrytych i w zubożeniu ludu. Portugalia pierwsza doznała skutków tego, ten niewielki kraik został wprost zrujnowany przez wydatki na utrzymanie potęgi morskiej.

Holandya wysuwa się wtedy naprzód. Zwyciężczyni Hiszpanii, zagarnia ona kolonie portugalskie. Wraz z przeniesieniem punktu ciężkości polityki kolonialnej do krainy polderów, charakter zaborów ulega odpowiedniej zmianie. I nawet to, iż Holendrzy zwrócili oczy swoje nie na terytorya hiszpańskie, ale portugalskie, nie jest bynajmniej dziełem przypadku, ale wynikiem przyczyn głębszych. Kolonie Hiszpanii, podzielone na latifundya, nie bardzo ich nęciły; co zaś do kopalni srebra, woleli oni rabować okręty hiszpańskie, niż sami eksploatować żyły kruszcowe. Natomiast zysk z handlu, pobierany przez Portugalczyków, oddziaływał silniej. Jako żywioł, ciągnący korzyści z kolonij, występuje tam nie biurokracya i nie żołdactwo, ani duchowieństwo — posiadłościami zamorskiemi zarządza kupiec. Atoli pojedynczy przedstawiciel tej warstwy, wobec korsarstwa panującego na morzu, braku stałych środków komunikacyjnych i bezpieczeństwa, nie zdołałby osiągnąć rezultatów, wiąże się on z innymi w kompanie, oparte na zasadzie monopolu. Rozpoczyna się epoka kwitnąca dziejów Ho-

---

50)

W. DOROSZEWICZ.

SACHALIN.

Katorga i religia.

Sachalin posiada 11 cerkwi; ale czy katorga jest religijna?

Utkwił mi w pamięci taki obraz: Wielkanoc. Noc jasna, chłodna, prawie mroźna. Władywostok to tu, to tam, jakby się zapalił. Świątynie oświetlono rzęsiście. Na lewo od nas „Petersburg" migocze jarzącem się światłem. Trochę dalej olbrzym „Jekaterynosław" wygląda jak jakiś okręt przezroczysty, utkany ze światła.

— „Chrystus zmartwychwstał!" — rozlega się nad spokojną przystanią przedportową, gdzie stoją okręty na kotwicy. Niebo bezdenne, gwiazdy iskrzą się.

Na naszym „Jarosławiu" panuje ożywienie radosne. Z kajuty dochodzi brzęk naczynia. Podają mięsne potrawy po raz pierwszy po poście. Na pokładzie migają świece konwoju i komendy. Duchowny rozpromieniony. Całujemy się ze współpodróżnymi serdecznie, jak gdybyśmy istotnie stali się dla siebie bliższymi. Jakieś dziwne uczucie nawiedza duszę w tę noc, zdala od domu i bliskich. .

I tylko tam, w więzieniu, cicho jak w grobie. Śród radosnego pozdrawiania imienia Chrystusa, duchowny idzie święcić pokład.

Idziemy obok „miejsc osobnych," wychodzących na pokład. Zaglądam do iluminatora.

Jest tam kilku ludzi. Gdybyż choć jeden wstał, poruszył się na śpiew przechodzącego chóru i na widok duchownego z krzyżem!

Szczególnie zapamiętałem twarz pewnego gospodarza oddziału: „powrotnego." Widzę i obecnie tę twarz wyraźnie. Spogląda na przechodzącą obok procesyę z zupełną obojętnością:

— Patrzcie! jak ich tam dużo!

Nawet nie przeżegnał się, gdy przechodząc prawie w twarz mu zaśpiewano: „Chrystus zmartwychwstał!"

— Tak powitać Wielkanoc! Serce się ściska mimowoli.

— Czy ksiądz będzie obchodził oddziały aresztanckie? — pyta oficer starszego.

W pół godziny potem zbliża się do mnie dziwnie wzruszony:

— Wie pan, chciałem prosić księdza, ażeby obszedł oddziały. Udałem się tam, a oni wszyscy śpią!

Spać spokojnie i obojętnie w taką noc!

I to po tych wstrząsających duszę scenach, które widziałem przed miesiącem podczas spowiedzi! „Na tem właśnie cała rzecz polega, że w katordze człowiek z każdym dniem nabiera mocy serca"— wyjaśnił mi pewien skazaniec-sektant.

Misyonarz angielski, członek towarzystwa biblijnego, nawiedzając więzienia sachalińskie, rozdawał skazańcom książki do nabożeństwa. Gdy się zbliżył do starego katorżnika P., ten z nadzwyczajną uprzejmością i szacunkiem ukłonił mu się i zwracając książkę, zimno lecz grzecznie powiedział przez tłomacza:

— Proszę powiedzieć panu, żeby dał książkę komu innemu: ja nie palę *).

Większość katorżników — to ateiści, a jeżeli którykolwiek ze skazańców zacznie się modlić w więzieniu, narażony jest na ogólne drwiny. Katorga nazywa to „słabością," a przecież ona gardzi wszelkiemi słabościami.

Jakim sposobem dochodzą oni do negacyi?

Jedni własnem rozumowaniem.

— Czy wierzycie w Boga? — spytałem Paklina, zabójcę archimandryta w Rostowie.

— Nie! — odparł mi krótko.

Polałachow, zabójca Arcimowiczów w Ługańsku, żywił, jak zapewniał sam Paklin, wielką sympatyę dla ludzi religijnych, „lubił ich."

— No, a wy?

— Ja wyznaję Darwina.

— Jakto? Czytaliście Darwina?

— Potem, po zabójstwie, miałem sposobność czytywać.

Z rozmowy można było wywnioskować, że istotnie czytał on Darwina, chociaż zrozumiał go „po swojemu."

---

*) Tj. „niepotrzebny mi papier do papierosów."

landyi, która przecież kończy się tem, czem skończyć się musiała: ruiną kraju. Niderlandy były za małe, ażeby bezkarnie ponosić wydatki. Dochody, otrzymywane przez kupiectwo, obudziły chciwość sąsiadów: Anglii i Francyi. Trzeba było utrzymywać potężną flotę i wojsko lądowe; warstwy kupieckie, rządzące krajem, usiłowały zwalić wszystko na lud i przemysł, które ubożały. Skończyło się to upadkiem potęgi holenderskiej. Walka o kraje zamorskie zaczyna rozgrywać się pomiędzy Francyą a Anglią. Zwycięża ta ostatnia, nietylko dlatego, że posiada odpowiednią flotę, ale również ponieważ stosuje do kolonij system rozumniejszy. Francya idzie w ślady Hiszpanii; tak samo, jak jej sąsiadka zapirenejska, rozdziela ona Kanadę na seigneuryc, które powierza oficerom i biurokratom, i stwarza tam ustrój, odstraszający żywioły ludowe. Jeśli Portugalia, Hiszpania i Niderlandy w polityce kolonialnej posiadały chociaż niedługie chwile świetności, to Francya nawet tem nie może się poszczycić. Inaczej dzieje się w Anglii. Trzeba przyznać, iż w danej chwili był to jedyny kraj, odpowiedni do nadania kolonizacyi charakteru racyonalniejszego. Indye wschodnie powierzono jeszcze kompanii handlowej, zbudowanej według wzorów holenderskich, burżuazya angielska była o tyle silna, iż umiała niedopuścić państwa do wyzysku nowych posiadłości i pozyskania w ten sposób środków na wzmocnienie potęgi swojej w społeczeństwie. Nastąpiło to zaledwie w połowie wieku obecnego, gdy rząd zupełnie stracił wpływy dawne. Z drugiej strony żywioły, które opuszczają Anglię w celu szukania dobrobytu za morzem, także odznaczają się innymi przymiotami: z Hiszpanii wychodziła zbankrutowana szlachta oraz grupy, które w ówczesnym ustroju odpowiadają naszym mętom społecznym; tymczasem tam, w krajach wyspiarzy, uciekają za morze żywioły opozycyjne, ludowe, broniące swobody wyznania. Po tamtej stronie Atlantyku powstaje nowe społeczeństwo, „Nowa Anglia," wolna od szlachty, duchowieństwa i burżuazyi, oparta na pracy. Kompania wschodnio-indyjska była kierowana przez kupców i najmowała młodszych synów arystokracyi na oficerów. Lud wychodził do Ameryki. Po raz pierwszy w dziejach kolonizacyi nowoczesnej powstają posiadłości, które nie ubożą kraju ojczystego, ale stają się ogniskiem urządzeń postępowych. Wprawdzie kolonie amerykańskie z biegiem czasu odpadną, lecz przykład, przez nie dostarczany, oraz nauka, udzielona macierzy, nie spełzły na marnem. Według tego typu kształtują się Kapland i kolonie austral-azyatyckie, rząd angielski pozostawia im zupełną swobodę, nawet pozwala nakładać cło na produkty, przychodzące z metropolii. Jedynie w Indyach Przedgangesowych zachowało się dużo tradycyi epoki zaborczej, ale i tam rzeczy stoją lepiej, niż zwykle się mniema. Anglia pomimo całego wyzysku spełnia tam posłannictwo cywilizacyjne. Mniejsza zresztą o to. Wojny, które toczą się w Europie w pierwszem dziesięcioleciu obecnego stulecia, sprzyjają zwiększeniu się posiadłości kolonialnych korony angielskiej. Wzrost ich oraz inne przyczyny, w których rozbiór nie będziemy się tutaj wdawali, udzielają podniety przemysłowi angielskiemu, który przybiera charakter wielkiej industyi, i zaczyna być zamiast kupiectwa najwpływowszą warstwą porządku mieszczańskiego. Wraz z tem radykalna zmiana następuje w dążnościach kolonialnych Albionu.

Interesy przemysłowe są zgoła odmienne od interesów kół finansowych i kupieckich, tem bardziej zaś biurokratycznych i szlachecko-militarnych. Szlachta i biurokracya widzą w koloniach tylko źródło synekur i wyzysku, kupcy i wielcy lichwiarze finansowi — produktów do wywozu i pobierania procentów. Wszystkim tym grupom chodzi o wyzysk natychmiastowy, cała różnica polega na sposobie jego dokonywania, co ostatecznie wyzyskiwanym przynosi małą pociechę. Zubożenie ludu podbitego jest jedynym rezultatem takiego postępowania. Polityka kolonialna, o ile opiera się na tylko co wymienionych warstwach, z konieczności dąży do coraz nowych zaborów. Każdy nowy obszar kolonialny, to przecież nowe źródło synekur, nowe pole dla lichwy. Polityka kolonialna przemysłowców wychodzi z innych założeń i w dalszym ciągu prowadzi do innych następstw. Ruina krajów zamorskich nie przyspiesza im korzyści; owszem, zubożenie oddziaływa jak najfatalniej na ich interesy. Obszary kolonialne służą im przedewszystkiem za rynek zbytu, i wszystko, cokolwiek mieszkańców tamtejszych pozbawia dobrobytu, co rujnuje ich, zmniejsza siłę nabywczą. Przemysł szuka tam odbiorców. Ani niewolnicy, niemający nawet własnego ubrania na grzbiecie, ani zbankrutowani i zgłodniali włościanie nie mogą pochłaniać wytworów wielkiego przemysłu z—chwilą więc, w której punkt ciężkości ekonomicznej kraju przeniósł się od kupiectwa na przemysłowców, z konieczności musiał nastać zwrot w kierunku polityki kolonialnej. Nowe prądy uwydatniły się przedewszystkiem w zmianie stosunku względem niewolnictwa. Pokój w Utrechcie (1713) był bardzo ceniony przez Anglików, bo nadawał im prawo dostarczania niewolników dla kolonij hiszpańskich. Tymczasem ta sama Anglia w r. 1805 zabrania handlu niewolnikami, w 1813 znosi go w swoich posiadłościach. Kupiec w polityce kolonialnej potrzebuje pomocy żołnierza i urzędnika, przemysłowiec woli misyonarza. Grupy przemysłowe Anglii zaczynają coraz energiczniej występować przeciw dążnościom zaborczym, domagają się natomiast prowadzenia przez rząd polityki handlowej, polegającej na zawieraniu umów, oraz żądają rozwoju środków komunikacyjnych i konsulatów.

Na to złożyły się jeszcze inne okoliczności.

Przemysł angielski nie obawia się współzawodników. Jest tak świadom siły swojej, że pragnąłby wszędzie urzeczywistnić zasadę wolnego handlu. Chętnie pozostawiłby on Afrykę i Chiny nietykalnemi; co więcej jest gotów otworzyć na oścież dostęp tam wszystkim swoim współzawownikom, ufny, że póki obowiązuje swoboda handlu, póty będzie on wychodził z walki jako zwycięzca. Po co mu więc zamieniać kraje egzotyczne na kolonie, „te kamienie młyńskie na szyi W. Brytanii," jak odezwał się jeden z tamtejszych mężów stanu, po co łożyć koszty na ochronę rynków, kiedy one muszą należeć do Angli dzięki jej wyższości przemysłowej? Takie stanowisko ujawnia się przewybornie chociażby w stosunku Anglii do

---

— Czyż Darwin zaprzecza istnieniu Boga?

— Tak. Życie, mojem zdaniem, to walka o byt.

„Walka o byt" zrozumiana po barbarzyńsku, zwierzęco — oto ich religia.

Niektórzy doszli do negacyi, że tak powiem, drogą doświadczalną.

— Wszystko to bzdurstwo! — z uśmiechem mówił mi pewien skazaniec; — widziałem, jak ludzie umierają...

Miał prawo to powiedzieć; istotnie „widział."

— Mnie osobiście „to" interesowało. Umyślnie zabijałem także i psy. Umierają tak samo. Żadnej różnicy! Patrzę tylko, co mu w tej chwili jest potrzebne? — Dobić go jak najprędzej dla skrócenia męczarni.

Jak katorżnicy dochodzą nietylko do negacyi, ale nawet do nienawiści względem wiary, nienawiści zaprawionej częstokroć nieprawdopodobnem szyderstwem?

— W takiem błocie łatwo się unurzać— mówił mi w okręgu korsakowskim zabójca odeski, Szaposznikow, pod wpływem tego nastroju, który pozwalał mu mówić rozsądnie.

Pamiętam pewnego skazańca, właściciela traktyerni z gub. Wołogodzkiej. W jego „zakładzie" wszczęła się bójka między dwiema grupami ludzi. On zaś trzymał stronę jednej i wołał:

— Bij, a dobrze!

W rezultacie jeden pozostał zabity, a właściciela traktyerni oskarżono o namowę do zabójstwa. Opowiadając o zrujnowanym dobrobycie, o rodzinie porzuconej, o swoich cierpieniach i męczarniach na katordze, cały drżał i mówił takie rzeczy, żem musiał nakłaniać go do opamiętania się:

— Co tobie? Co mówisz? Bój się Boga! Tyś przecie chrześcianin!

Nieszczęśliwy wziął się za głowę:

— Panie, panie, tutaj rozum stracić można!

Pamiętam jedną scenę, która się odegrała przed chłostą. „Karze podlegał" katorżnik bezterminowy, Fedotow, lat 58, skazany na Sachalin za rozbój. Uciekł i był zbójem w okręgu korsakowskim w bandzie zbiegów, zabił zaś włościanina, broniąc się, gdy go schwytać chciano. Następnie wraz z byłym inżenierem-technologiem złapano go na podrabianiu banknotów pięciorublowych. Wreszcie skradł w cerkwi scyzoryk.

— Bóg mię z ogrodu wygnał; kraść mu zacząłem. Od tego czasu chodzę bez Boga! — powiedział mi Fedotow ze smutnym uśmiechem.

Za trzy przestępstwa otrzymał trzy razy po sto plag i trzy razy był przykuty do taczki. Teraz wielce się rozwinęła u niego wada serca. Z trudem chodzi i oddycha. Doznaje czasami silnych zawrotów głowy. Pod względem psychicznym także nienormalny: podejrzliwość jego bardzo jest zbliżona do manii prześladowczej. Podczas napadu zawrotów głowy rzuca się z nożem na lekarzy i władzę. W stanie zaś normalnym jest to człowiek bardzo spokojny, łagodny, dobry, osłabiony i ogromnie chory.

Ostatnie jego przestępstwo, za które karę ściągnął na siebie, było następujące: Pod wpływem obawy, że w więzieniu rykowskiem doktór leczy go niewłaściwie, Fedotow bez opowiadania się poszedł do innego lekarza w Aleksandrowskiem, któremu zupełnie ufała cała katorga. Za to skazano go na 80 plag. Jeszcze rano, nie przypuszczając, że mi się zdarzy nad wieczorem zobaczyć Fedotowa w tak strasznem położeniu, rozmawiałem z nim. Zbliżył się do mnie z listem.

— Od kogo?

— Ode mnie.

— Poco było pisać?

— Nie wiedziałem, czy pan zechce z takim, jak ja, rozmawiać. Przytem trudno mi wszystko wypowiedzieć; brak tchu. Widzi pan, jak mówię.

W liście Fedotow uważał „za swój święty obowiązek" zawiadomić mię, że katorga obdarza mię sympatyą, prosił, żebym „nikomu nie wierzył" i nie bał się katorgi: „kto dla nas jest człowiekiem, my dla niego nie jesteśmy zwierzętami." W końcu wyraził nadzieję, że moje odwiedziny przyniosą taki pożytek, jak odwiedziny „pana doktora Czechowa."

I oto tegoż dnia zobaczyłem Fedotowa w takiem położeniu.

Chin. W. Brytania z mocarstwem Niebieskiem toczyła trzy wojny, w latach 1840, 1856 i 1860, ale w żadnej z pośród nich nie chodziło o cele zaborcze, tylko o otworzenie dostępu do Chin produktom wszystkich mocarstw europejskich. O ile odmiennie względem tego samego mocarstwa zachowują się obecnie Niemcy!

I zasadom tym Anglia hołduje, o ile okoliczności pozwalają jej na to. Inne kraje pod wpływem właśnie tych samych pobudek, które powstrzymują Anglię od zaborów, zaczynają marzyć o rozszerzeniu swoich posiadłości. Chodzi im o rynki. Ale gdy W. Brytania nie obawia się współzawodnictwa przemysłowego, inne państwa Europy lękają się go. Pragnęłyby one ogrodzić rynki od wszelkiego przedostania się tam wpływów Albionu. To zmusza Anglię do trzymania w swem ręku Egiptu, do wypraw przeciw góralom afgańskim. Zabory angielskie wypływają z samoobrony, lecz nigdy z polityki podbojowej. Na czele kierunku zaborczego idzie Francya i to stanowisko jest jedynie dalszem a konsekwentnem rozwinięciem jej systemu celnego. Jedynie udział Niemiec w tych dążnościach jest nieco dziwny. Przemysł niemiecki jeden może współzawodniczyć z wielko-brytyjskim i mógłby obyć się bez uciążliwej polityki, jakiej rząd berliński hołduje. Zachowanie się Niemiec względem Chin nie przynosi żadnego pożytku przemysłowi krajowemu. Ale taki sposób postępowania wynika z panowania w monarchii Hohenzollernów militaryzmu i jest jednym z objawów reakcyi, tam rozwielmożnionej.

Cele więc i hasła, oraz pobudki polityki kolonialnej w ciągu dziejów ulegają nieustannej zmianie. Tkwią one w strukturze społeczeństwa, które ją uprawia.

J. W.

Tydzień polityczny. Przesłanie ułożonych w 4 punkta postanowień kongresu waszyngtońskiego z d. 19 b. m. posłowi hiszpańskiemu zastąpiło wypowiedzenie wojny. Spóźniona uchwała kongresu z d. 24 b. m. jest czczą formalnością, głównie wewnętrzną. D. 22 b. m. wyruszyła flota, zebrana pod wodzą Sampsona u ław piaszczystych na południu Florydy (*keys*) z Key-Westu ku brzegom Kuby; tego samego dnia przed wieczorem stanęła nawprost Hawany. Forty naprzód wysunięte ostrzeliwać ją zlekka zaczęły; nie odpowiedziała. Powtarzało się to i przez dnie następne. Strzały były nieszkodliwe, a bombardować Hawany w tej chwili jeszcze strona zaczepiająca nie chce: wystarczy jej osaczenie; dopiero po wylądowaniu, najprawdopodobniej na południu, zacznie się działanie od lądu i morza. Może przedtem zajmą Stany Zjednoczone Matanzas, niedaleko na wschód od stolicy. Dziennikarze dziś już prawią o współdziałaniu Gomeza z 30,000 powstańców dla zdobycia Hawany.

Stany Zjednoczone zawiadomiły mocarstwa o blokadzie całej wyspy; ale ponieważ blokada rzeczywistą być musi, a z 3,400 kilom. wybrzeży kubańskich flota najezdnicza opasała dotychczas zaledwie 400, zawiadomienie zatem nie będzie miało skutku bezprawności dla usiłowań blokadzie przeciwnych. Obie strony chwytają sobie statki kupieckie, ale bojowo nigdzie się jeszcze nie zwarły.

Floty hiszpańskiej niema jeszcze w odnodze Meksykańskiej. Przed tygodniem, a od dwóch już tygodni przedtem, stała ona u portugalskich Cabo Verde, ma więc cały Atlantyk prawie do przebycia. W Madrycie może ją trzymają w pobliżu na własną obronę (Kadyx, Kanadyjskie), może przewidują zaskoczenie jej przez okręty Unii, mianowicie przez lotną eskadrę Schleya z Hampton Roads. Rząd wogóle nie ma wiary; lud tylko dopomina się zwycięztw, pogromów, zdobyczy. W Portugalii jest wojna bardzo popularną, a ta popularność zbliża już oba rządy. Anglia znowu przechyla się do Stanów Zjednoczonych; paplają już o przymierzu.

Reszta rządów europejskich życzliwie jest usposobioną dla Hiszpanów; niechętnie tylko patrzą wszystkie na jej oporność przeciwko zasadzie traktatu paryskiego, znoszącej korsarstwo, tem bardziej, że Stany Zjednoczone jeszcze przed zerwaniem stosunków zrzekły się rozboju. Mocarstwa radzić teraz mają nad tem, czy węgiel kamienny ma być, jak go Stany Zjednoczone mieć chcą, kontrabandą wojenną, i jak ograniczyć prawo rewidowania neutralnych?

Mc Kinleya opuszczają jego ministrowie: sekretarz stanu i zarazem minister spraw zagranicznych Sherman, wojny — Alger, marynarki — Lang, i poczt — Gary, wystąpili z gabinetu. Miejsce Shermana zajął Day.

Wojna zostawia dziś miejsce tylko dla wzmianki o zwycięztwie lewicy niemieckiej w Wiedniu d. 26 b. m. Po skończeniu rozpraw nad oskarżeniem p. Badeniego Izba deputowanych 175 gł. przeciw 167 odesłała wniosek do komisyi: dla prawicy szpetna przegrana. Sprowadziło ją zbiegostwo katolików. Dipaulego.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

CYRKULARZE.

Od lat kilku śledzimy uważnie wielce charakterystyczny sposób wzmacniania sprawności i baczności w gospodarce kolejowej. Ilerazy zdarzą się jakieś fatalne uchybienia, omyłki, odbijające się ujemnie na interesach ogółu, ile razy wynikną katastrofy, zawsze potem sypią się cyrkularzowe rozporządzenia, obarczające odpowiedzialnością pracowników, siejące śród nich postrach i groźby utraty miejsca. Za rozbicie pociągu, kalectwo i śmierć podróżnych odpowiadają przedewszystkiem: zawiadowca, zwrotniczy, maszynista lub jego pomocnik, telegrafista i t. d. Następnie, po wymierzeniu kary winnym, idzie obostrzenie warunków służby i obowiązków wogóle wszystkich oficyalistów i urzędników, na których pracy opiera się cała olbrzymia i złożona machinerya komunikacyjna. W pojęciu zarządu danej kolei winien tylko pracownik, zapobiedz zaś niebezpieczeństwom, nieszczęściom i stratom na przyszłość można jedynie za pomocą utrzymywania tych pracowników pod groźą kary lub wydalenia ze służby.

Taki znamienny środek zastosowano niedawno na jednej z kolei: Wszelkie przyczyny złego odrazu i stanowczo usunąć mają... egzaminy urzędników odpowiednio przeprowadzone. Pod wpływem takiego pojęcia, powien naczelnik ruchu wydał niedawno cyrkularz, który między innemi ostrzega, że z powodu naruszania

---

Wszedł do kancelaryi, niczego się nie spodziewając, przyprowadzony wraz z innymi, „skazanymi na chłostę.“ Na uboczu skromnie stał oprawca Chruściel, ze swoimi „instrumentami“ pod pachą, zawiniętymi w czysty kawałek płótna. Przy drzwiach wystraszeni, zmieszani, skupili się „skazani na chłostę.“

Ja, lekarz i pomocnik inspektora siedzieliśmy przy stole.

— Fedotow!

Ze zdumieniem na twarzy zbliżył się do stołu chwiejnym krokiem człowieka osłabionego:

— Po co mię, jaśnie wielmożny panie, wezwano?

— A ot, zaraz dowiesz się. Proszę powstać: wyrok!

Zwrócił się do mnie pomocnik inspektora i zaczął szybko odczytywać wyrok:

— Zważywszy... uznając winę... osiemdziesiąt plag...

Im dłużej urzędnik czytał, tem mocniej drżał cały Fedotow. Stał z ręką przyciśniętą do serca, blady jak płótno i tylko zmieszany pomrukiwał:

— Za oddalenie się... za to, żem chodził do doktora...

Po skończeniu czytania wyroku, gdy wszyscy usiedli, on z wielkiem zdumieniem popatrzał na nas i rzekł:

— Gdzież Bóg!? A więc mogą odbierać życie?!

Powiedział, wysunął się naprzód i w jednej chwili cała twarz mu się wykrzywiła. Zatrząsł się, a piersi rozdarł krzyk przenikliwy.

I posypał się grad takich okropnych bluźnierstw, że aż strasznie było słuchać. Fedotow rwał na sobie odzież, chwiejąc się chodził po całej kancelaryi, bił głową o ściany, o drzwi i wołał głosem nieludzkim:

— Rznijcie, duście, bijcie mię! Chruściel, pij moją krew! Nadzorco! zabij mię!

Rzucał się na urzędników, rwąc na sobie koszulę i obnażając piersi.

— Zabijcie! Zabijcie!

Przeplatał te wołania takiemi bluźnierstwami, jakich nigdy nie słyszałem i zapewne nigdy więcej nie usłyszę. Trudno sobie wyobrazić, ażeby język ludzki był zdolny do wypowiedzenia takich rzeczy, jakie wykrzykiwał ten człowiek pod wpływem wzburzenia.

Niepodobna było wytrzymać. Doktór cały blady, drżał. Wystraszony pomocnik nadzorcy krzyczał:

— Wyprowadźcie! Wyprowadźcie!

Fedotowa porwano pod ręce. Wyrywał się, ale go wyprowadzono, prawie wywleczono z kancelaryi. Krzyki zaś jego i żale dochodziły z podwórza.

— Czyżby go karano istotnie, chorego na serce? — zapytałem.

— Kto go tam będzie karał! Czyż można go karać? — mówił doktór drżący.

— Więc pocóż cała ta historya? Czyż nie lepiej było odrazu go uspokić, powiedzieć, że kara nie będzie wykonana, że jest to tylko formalność — czytanie wyroku? Przecież on chory!

— Nie można! Taki porządek! — mruczał młodzieniec, pomocnik gospodarza więzienia.

Oto właśnie może jest jedna z tych chwil, w których gaśnie wiara, a gniew, tylko gniew na wszystko, budzi się w duszy.

— Jakiż ja tam chrześcianin prawosławny! — często słyszałem z ust katorżników — kiedy nie chodzę do spowiedzi i nie komunikuję się.

— Przemocą trzeba ich ściągać!—skarżą się duchowni i nadzorcy.

W gruncie zaś rzeczy to uchylanie się wynika z uczucia głęboko religijnego.

— Czyż to jest zakończenie postu?—mówią skazańcy. — Przychodzimy z cerkwi, a tu dokoła pijatyka, gra i łajanie. Łob przeżegnasz—śmieją się, obrzucają obrzydliwemi słowami. Wrócisz ze spowiedzi—łają. Przed komunią tyle się nabroi, że niepodobna do niej przystąpić. Tak lata upływają i człowiek się odzwyczaja.

Iluż z nich, głęboko religijnych, odzwyczaja się od tego! Rozmawiamy z nimi, słuchamy i wydziwić się nie można: Czyż to są istotnie wszystko ludzie ze sfery „prostej,“ wierzącej, religijnej?

(C. d. n.)

przepisów, dotyczących technicznej strony biegu pociągów, członkowie komisyi egzaminacyjnej, wypróbowywujący uzdolnienia urzędników, będą pociągani do odpowiedzialności, jeżeli ludzie przez nich egzaminowani, ujawnią w przyszłości nieumiejętność wykonywaniu obowiązków albo też jeżeli przekroczą przepisy kolejowe, których znajomość na egzaminie wykazali.

Ten sam naczelnik ruchu wydał prócz tego inny cyrkularz, który na zawiadowców stacyj większych i wogóle na wybitniejszych urzędników wkłada obowiązek przygotowywania do egzaminu oficyalistów. Mianowicie każdy z takich rzeczoznawców powinien w ciągu *miesiąca* przygotować co najmniej dwu pracowników: jednego z zakresu ruchu technicznego, drugiego ze specyalności handlowej.

Takie obowiązki egzaminowania i zdawania egzaminów włożono na ludzi, obarczonych nadmierną pracą służbową, którzy nie mają prawie nigdy ani wytchnienia, ani spokoju. Słuszną z tego powodu uwagę wypowiedziały *Birżewyja Wiedomosti*, że właściwiej byłoby czynność tę polecić szkołom specyalnym, które należałoby stworzyć z kursami praktycznymi dla przysposabiania kandydatów do odpowiedniej służby kolejowej. Tym sposobem możeby się dało usunąć takie np. warunki służby: niektórzy oficyaliści w dziale bagażowym pracują od 8 ej rano prawie codziennie do 3, 4, a nawet 5-ej rano dnia następnego. Oprócz różnorodnych, czynności, dotyczących wydawania bagażów obowiązkiem czterech lub pięciu urzędników kasy bagażowej, głównie zaś kasyera, jest robienie rachunków całodziennych. W tym celu stworzono osiem ksiąg: cztery do notowania bagażu wydawanego, cztery do zapisywania pakunków przywiezionych. Tu są cztery działy: ruch szybki komunikacyi wewnętrznej (*bolszoja skorost'*), ruch szybki komunikacyi prostej, wewnętrznej pasażerskiej i bezpośredniej (nie licząc ksiąg bilansowych, konduktorskich, tudzież do notowania towarów wyładowywanych, zapisywania kopij po cztery egzemplarze, i t. d.). Dodajmy, że do każdej z tych ośmiu ksiąg trzeba zapisać przeciętnie po *dwieście* ekspedycyj, dzieje zaś pochodzenia towaru zanotować w osobnych rubrykach (po 44 w każdej książce).

To jest próbka pracy ludzi, którym jeszcze cyrkularze „energicznych“ i „pomysłowych“ naczelników narzucają nowe obowiązki nad siły, pod groźą surowej odpowiedzialności. Ktoś zawsze musi odpowiadać za kogoś: komisya egzaminacyjna i jej przewodniczący za późniejsze czyny i niezdolność ludzi wyegzaminowanych; egzaminowani za to, że nie mogli podołać obowiązkom nad siły itd. Słowem — wszyscy i za wszystko są odpowiedzialni, z wyjątkiem głównych gospodarzy przedsiębiorstwa komunikacyjnego, którzy głęboko ukrywają w systemie całej organizacyi właściwy rdzeń złego: Nie chcą uznać tych faktów, wielokrotnie i niezbicie ujawnionych, że przyczyną klęsk i katastrof jest nie twardy sen lub nieprzytomność maszynisty, zwrotniczego, telegrafisty, lecz brak odpowiedniej liczby ludzi, któraby pozwoliła wszystkim wyspać się i wypocząć należycie; że „nieznajomość“ przepisów lub „przekraczanie“ ich pochodzi najczęściej z nadmiaru pracy. Kto musi w ciągu doby zapisać w ośmiu księgach 1600 ekspedycyj i setki innych notowań uczynić, kto prócz tego ma na głowie tysiące spraw chaotycznych i gorączkowych, ten pomimo nadludzkiego skupienia uwagi, nie potrafi uniknąć paru omyłek dziennie. W najlepszym razie płaci za to kary czasem nawet i za innych, noszących podobne nazwiska, również przez omyłki, popełniane w rubrykach wykazu kar. (Pewną sławę w tej mierze wyrobiła sobie kolej Warszawsko-Wiedeńska). Kary takie są stałym podatkiem, tem uciążliwszym, że suma opodatkowania nigdy nie jest przewidziana i skutkiem tego pracownik nie może ułożyć odpowiednio swego budżetu.

Ale to jeszcze bagatela. Zwykle za winy *systemu* machiny komunikacyjnej urzędnicy i oficyaliści tracą służbę. Po każdym wypadku, po każdej mitrędze, niedokładności, narażającej na straty przedsiębiorstwo kolejowe i publiczność, na „winnych“ spadają kary i dymisye, na niewinnych zaś — obostrzenia i cyrkularze, ogłaszane przez gospodarzy miejscowych. Wogóle cyrkularze, pochodzące z tego źródła, stały się nieodłącznym szczegółem gospodarki. Niecą one postrach, zagważdżają głowy, trzymają pracowników pod wieczną grozą, nakazują im nietylko obowiązki właściwe, ale i zupełnie uboczne niemające nic wspólnego ani z pracą tych rzesz, ani z zadaniem kolei. Kto choć trochę posiada zmysłu spostrzegawczego, ten łatwo dostrzeże znamienne zjawisko psychologiczne: tak zwane „zahukanie“ ludzi: czy to uczeń, czy człowiek dorosły, czując ciągły ciężar pogróżek na mózgu, traci swobodę myśli i przytomność, popełnia takie omyłki, jakichby nigdy nie popełnił, gdyby go nie gnębiono postrachem; staje się „niesumiennym“ mimowoli. Coś podobnego dzieje się w duszy pracowników kolejowych, tych kozłów ofiarnych systemu wadliwej gospodarki kolejowej. Nękani nieustannymi cyrkularzami, myślą tylko o tem, ażeby mimowoli nie naruszyć tych przepisów, wylatujących jak petardy, z gabinetów „panów naczelników.“ Ludzie uczciwi, rzetelni, zdolni i pożyteczni tracą nieraz posady, nie dla tego że nie wypełnili sumiennie swoich obowiązków służbowych, lecz że zgrzeszyli przeciwko doraźnemu cyrkularzowi, który miał zamaskować niedołęztwo, wadliwość lub oszczędność zarządu kolejowego. To są wyniki zbytniej samodzielności panów dyrektorów, rządzących się fantazyą i zanadto przejętych swoją rolą zwierzchniczą. Miejmy nadzieję, że z czasem ministeryum komunikacyi zwęzi granice tej ich samodzielności, wyzyskanej jednostronnie — w zakresie cyrkularzów, które „oczyszczają“ rzesze pracujące z ludzi pożytecznych i zdolnych.

LISTY PETERSBURSKIE.

Echa denuncyacyi *Przeglądu Katolickiego* w prasie rosyjskiej. — „Polityka“ w warszawskim oddziale Towarz. przem. i handlu i sposób stłumienia jej za pomocą... synekury. — Błędy rusyfikacyi w oświetleniu ks. Meszczerskiego. — „Trudności papierowe“ w Banku włościańskim. — Rady ekonomistów dziennikarskich. — Pouczający przykład z działalności ziemstwa.

Denuncyacye *Przeglądu Katolickiego* dały pismom wrogim dla nas obfity materyał do wniosków potępiających społeczeństwo polskie. „Zaledwie tylko czytelnie ludowe otrzymały prawo obywatelstwa nad Wisłą — pisze *Swiet* — a już księża wynaleźli pozór do demonstracyjnej propagandy: zebrawszy w Warszawie bractwa kościelne, złożone przeważnie z rzemieślników, dali im do podpisania prośbę do arcybiskupa łacińskiego o wykluczenie z czytelni rzemieślniczej szkodliwych i gorszących książek, za jakie są poczytywane te wszystkie, które wystawiają w dodatniem świetle naród rosyjski, władze rosyjskie i prawosławie.“

St. Petersb. Wied. prostują te fakty przekręcone, wysnute wszakże bardzo konsekwentnie z doniesień oszczerczych *Przeglądu Katolickiego*. „Istotnie, w końcu r. z.— wyjaśnia pismo powyższe — we wszystkich guberniach Królestwa Polskiego generał-gubernator warszawski urządził 20 czytelni ludowych, pozostających pod bezpośrednim kierunkiem i dozorem komisarzy włościańskich oraz w części nauczycieli wiejskich. Jeżeli gazeta miała na myśli te czytelnie, to można stanowczo zaświadczyć, iż żadna prośba o wycofanie z nich jakichkolwiek książek od nikogo i do nikogo nie wpłynęła. Podobnież duchowieństwa rzymsko-katolickiego nie wiąże z temi czytelniami żaden stosunek. W ubiegłym miesiącu zdarzył się fakt innego rodzaju, który doprowadził właśnie autora do jednego z licznych a opłakanych jego błędów. Mianowicie w Warszawie już od lat kilkudziesięciu istnieje polskie Towarzystwo dobroczynności, które posiada kilka *) czytelni dla najuboższej warstwy ludności miasta. Na początku r. b. odbywały się w owem Towarzystwie wybory prezesa i kilku członków zarządu, przyczem towarzyszyły im wielce burzliwe rozprawy z powodu starcia się dwu stronnictw społeczeństwa, które popierały każde z osobna swego kandydata na godność prezesa. Jedno obstawało za prezesem dotychczasowym, drugie, zarzucając mu klerykalizm, prowadziło gorliwie kontragitacyę i osiągnęło zwycięztwo. Natenczas zwolennicy pokonanego, a więc (zdaniem jego przeciwników) stronnictwa „klerykalnego,“ osiągnęli to, że arcybiskupowi warszawskiemu podano prośbę, zaopatrzoną w bardzo liczne podpisy, przeważnie rzemieślników, w której upraszano o współdziałanie arcybiskupa, celem usunięcia z czytelni warszawskiego Towarzystwa dobroczynności takich książek „antireligijnych,“ jak np. *niektóre* dzieła Wiktora Hugo, Zoli, Drapera, Spencera i innych poetów i uczonych Europy zachodniej. Opowiadając ten fakt, jak się zdarzył w rzeczywistości, pozostawiamy do rozstrzygnienia, co mają wspólnego założone przez generał-gubernatora czytelnie ludowe i prośba, podana arcybiskupowi warszawskiemu? Bylibyśmy też radzi dowiedzieć się, w jakich to dziełach Zoli i Spencera można znaleźć „to wszystko, co wystawia w dodatniem świetle naród rosyjski, władze rosyjskie i prawosławie?“

*) Dwadzieścia kilka. (*Przyp. aut. „Listów pet.“*).

Wyjaśnienie powyższe nie usunęło jednak podejrzeń niektórych pism rosyjskich. *Mosk. Wied.*, wierząc święcie denuncyacyom *Przeglądu Katolickiego* i solidaryzując się zupełnie z tem pismem, biją na trwogę. Korespondent warszawski, p. Ł-ko w nr. 92 tej gazety, twierdzi: *wykryto*, iż czytelnie bezpłatne warszawskiego Towarzystwa dobroczynności, tak samo jak dawniej ochronki (!!), służą za narzędzie propagandy polsko-rewolucyjnej.

Ten sam korespondent nieco wcześniej robił zarzuty warszawskiemu Towarzystwu przemysłu i handlu, że zajmuje się sprawami politycznemi, że na posiedzeniu jednej z sekcyj wyraził życzenie usunięcia fortecy; jako tamującej rozwój miasta i wreszcie że do składu Towarzystwa należą: adwokaci, dziennikarze i wogóle osoby, niemające nic wspólnego z przemysłem i handlem. Oskarżenia te odparł w *Mosk. Wied.* prezes oddziału, p. Kiślański; wykazał, że korespondencya p. Ł-ko od początku aż do końca jest kłamliwą, że warszawskie ognisko spraw przemysłowych i handlowych nigdy się nie zajmowało i nie zajmuje kwestyami politycznemi, że nigdy nie było mowy o usunięciu cytadeli. Co do składu osób Towarzystwa, członkami są przeważnie kupcy, przemysłowcy rzemieślnicy i wogóle fachowcy.

Wyjaśnienie to jednak nie zniechęciło wytrwałego korespondenta; usiłuje on gołosłownie dowieść, że zarzuty jego są słuszne i jako jedyny argument, podaje artykuł *Warsz. Dn.*, który zaznacza, że w sekcyi technicznej poruszano kwestyę przeszkód w rozwoju miasta z powodu istnienia fortecy. Gdyby tę kwestyę poruszono istotnie: nawet w taki sposób, w jaki ją przedstawia p. Ł ko, to jeszcze nie byłoby w niej ani nic nagannego, ani tem bardziej groźnego. Obawy i insynuacye korespondenta mogłyby tylko uśmiech wywołać na ustach ludzi rozsądnych, gdyby nie to, że p. Ł-ko przedsięwziął inną misyę i usiłuje ją przeprowadzić kłamliwymi, bardzo marnymi dowodami: żąda on, ażeby w odziale warszawskim Towarzystwa przemysłu i handlu ustanowiono komisarza rządowego, któryby kontrolował czynności wszystkich sekcyj. To, nad czem korespondent żąda rozciągnięcia kontroli, jest zwykle drukowane w sprawozdaniach oficyalnych. Wstęp zaś dla sprawozdawców, byleby rozumnych, uczciwych i brzydzących się kłamstwem, zawsze jest otwarty na wszystkich posiedzeniach. Można więc kontrolę prowadzić bez obarczania instytucyi posadą synekuralną.

Wypadek opisany w *Grażdaninie*, a zamieszczony w 17 nr. *Prawdy* (patrz „W dali") — kupno dóbr przez „mirowego pośrednika" i uwięzionego za nadużycie w tych tranzakcyach — wywołał rozmyślania i wnioski dość ciekawe na szpaltach pism petersburskich. „Epizod ten — pisze ks. Meszczerskij w swoim organie— jest bardzo pouczający. Ile poszło na marne papieru, czasu i słów dla rozstrzygnięcia kwestyi: co robić należy na kresach zachodnich, co czynić w Królestwie Polskim? Ile żółci i namiętności wywoływała polityka śród tych, którzy żądają jakiejś rusyfikacyi *monstre*, a tymi, którzy są za pewnemi prawami narodowości i wiary! Wszystko to zbyteczne. Potrzebny był tylko jeden środek: taki mianowicie, jakiego się chwycił generał-adjutant Dragomirow względem „pośrednika mirowego:" szybko rozpatrzyć sprawę i, jeżeli urzędnik jest winny, niezwłocznie usunąć go.. Więcej nic nie trzeba. Dziwnym zbiegiem okoliczności, na naszych kresach zachodnich i w Królestwie Polskiem jakoś mało słychać o tym głównym i bodaj jedynym niezawodnym sposobie łagodzenia stosunków w kraju i jednoczenia go z Rosyą..."

„Istotnie — już upłynęło prawie 35 lat od czasu jak stosujemy politykę rusyfikacyi i walczymy z polonizmem, wprowadzając różne poglądy, różne programy, systemy, różnych wykonawców, a pomimo to ciągle mamy do czynienia z nierozwiązanemi kwestyami i ranami otwartemi. Dlaczego? — Oto dlatego, żeśmy wszystko wypróbowali, wszystko puszczaliśmy w ruch, prócz jednego środka, który jest najważniejszy: nie robiliśmy tego, co uczynił generał Dragomirow z winnym „pośrednikiem mirowym."

„Kto był np. w Warszawie albo Wilnie, ten niewątpliwie różnymi czasy słyszał śród Rosyan rozmowę o tem, że rosyjscy urzędnicy są licha warci, że jedni łapownicy, inni zaś polonizują się, inni wreszcie są zupełnie obojętni względem zadań rządowych i idei rosyjskiej; ale czy się zdarzało komukolwiek z nas słyszeć o tem, że jednego za łapówki wypędzono, że innego za niewłaściwe prowadzenie się poproszono, ażeby ustąpił z posady... Ja przynajmniej nie słyszałem o takich wypadkach... W każdym razie jawnych przykładów tego rodzaju nie było, a przecież jawność w takich sprawach jest rzeczą bardzo ważną."

Prawda już niejednokrotnie wykazywała wady Banku włościańskiego, głównie zaś utrudnienia formalistyczne. Obecnie to samo stwierdza podanie włościan, zaniesione do powiatowego urzędu ziemskiego w Jekaterynosławiu. Skarżą się oni, że jest bardzo dużo posiadających tylko ¼ dziesięciny gruntu na głowę, albo nawet wcale nieposiadających, pomimo że „ziemia dla chłopa — to życie." Ażeby im przyjść z pomocą, stworzono Bank osobny z filiami, rozrzuconemi w całem państwie. Tymczasem „przekonaliśmy się wkrótce, że z Banku nie tak łatwo dostać pieniędzy. Stawia on papierowe trudności, dla nas niezrozumiałe; trzeba brać pełnomocników, których koszt przewyższa możność naszą." Skarżą się dalej, że trzeba jeździć do Banku kilkakrotnie, ponosić duże koszty i w rezultacie czekać bardzo długo na pieniądze. Takie są „myśli włościańskie," wysnute z praktyki życiowej. To, na co się skarżą chłopi jekaterynosławscy, jest wszędzie. „Trudności papierowe" zupełnie niweczą doniosłość instytucyi, stworzonej do podniesienia dobrobytu ludności włościańskiej.

Ekonomiści dziennikarscy nie widzą łatwej drogi do usunięcia tych powikłań formalistycznych, ze względu że do tranzakcyi wchodzą trzy strony: sprzedawca, nabywca i skarb. Bez aktów, regulujących tytuły własności, oraz uprawniających sprzedaż, istotnie obejść się nie można. Ale, jak słusznie ktoś zaznacza w *Nowostiach*, nie wypływa z tego jeszcze, że Bank włościański „musi zamrzeć w ciężkiej atmosferze kancelaryzmu" i stać się biurem, notującem tylko różne papiery, albo stwarzającem różne trudności." *Terskija Wiedomosti* proponują, ażeby dla ułatwienia sprawy i przyspieszenia tranzakcyi, Bank sam nabywał majątki, ofiarowane mu przez właścicieli. Tym sposobem w kupnie i sprzedaży brałyby udział dwie strony, a w dalszym toku sprawy, przy sprzedaży majątków przez Bank, znowu tylko dwie strony: instytucya kredytowa i włościanie, jako nabywcy. Dały się jednak słyszeć obawy, że takie postawienie kwestyi stworzy niebezpieczeństwo dla szlacheckiej własności ziemskiej. W dorywczych poglądach ekonomicznych panuje wszakże takie przekonanie: Majątki szlacheckie, zaofiarowane do kupna, mogą być bez specyalnych utrudnień kancelaryjnych nabywane przez skarb lub Bank skarbowy. Szlachta zyska na tem, gdyż tą drogą uniknie kosztownego pośrednika, „kułaka," skupującego ziemię i upatrującego tylko ofiary. „Operacya tego rodzaju byłaby korzystną dla skarbu lub Banku, gdyż grunty takie mogą być w razie danym wydzierżawiane włościanom."

W powodzi chaotycznych i różnorodnych poglądów zapomniano o jednym sposobie, wypróbowanym już przed laty z pomyślnym skutkiem. Mianowicie połtawskie ziemstwo gubernialne stworzyło kapitał osobny dla dopomagania włościanom w nabywaniu ziemi. W r. 1886 sprzedawano przez licytacyę majątek, który postanowili nabyć włościanie małorolni wsi Besarabówki. Zwrócili się tedy do miejscowego oddziału Banku państwa, ale ustawa tej instytucyi nie pozwoliła korzystać z takich warunków. Wówczas właśnie z pomocą interesowanym pospieszył zarząd gubernialny ziemski. Nabył on dobra rzeczone za 50,321 rs. i odprzedał następnie mieszkańcom wsi Besarabówki za pośrednictwem Banku włościańskiego. Ziemia ta dostała się nabywcom po 53 rs. 88 kop. za dziesięcinę, gdy inni *bezpośrednio* przy pomocy Banku włościańskiego płacili w tymże powiecie po 60—100 rs. za dziesięcinę.

Fakt ten (podany w dziele Abramowa p. t. „Co zrobiło ziemstwo i co ono zrobi?"), mógłby być wyborną wskazówką przy reformie Banku lub przy stworzeniu, jako odłamu jego, dodatkowej instytucyi pośredniczącej.

Paweł Krzyżanowski.

KRONIKA KRAKOWSKA.

Odpowiedź. — W obronie swoich. — Oświata w Galicyi. — Towarzystwo szkoły ludowej. — Bezpłatne wypożyczanie książek. — Wykłady popularne. — Uniwersytet ludowy.

Korzystając z przysługującego mi prawa, odpowiadam słów kilka autorowi broszury p. t. „Jeden z objawów moralności oportunistyczno-praw omyślnej." który w 16 n-rze *Prawdy* zarzuca mi, żem „nie czytał widać uważnie" jego pracy i „nie zapoznał się z nią osobiście, tylko z opowiadania."

Krakowski korespondent *Prawdy* nigdy cudzem zdaniem się nie posługuje i nigdy nie pisze o rzeczy, której dokładnie nie zbadał. Broszurę prof. Baudouin de Courtenay nietylko przeczytał jeden z pierwszych, ale przestudyował ją bardzo uważnie. Będąc nieprzejednanym wrogiem wszelkiego oportunizmu i kłamstwa, zgadzał się w zasadzie z autorem, nie mógł się wszakże zgodzić na formę i ton jego pracy. Dobrze jest zamiatać swoje podwórko, ale nikt nie niesie swoich śmieci na pokaz sąsiadom z przechwałką: „patrzcie jakie u mnie brudy się mnożą." Dobrze jest karcić swoich za złe winy, ale w tem karceniu powinna być miłość, powinien być ból, a nie oburzenie tylko i pogarda. Nie można usprawiedliwiać tego nawet stanowiskiem uczonego, badającego bezwzględnie fakty i poddającego je krytyce, bo najbardziej zapalony fizyolog nie robi doświadczeń na mózgu swojej matki, ani profesor anatomii nie demonstruje na trupie swojej żony. Zresztą zobaczmy, czy rzeczywiście jest u nas tak źle, czy istotnie te autonomiczne rządy tak wyłącznie tylko służą do zdemoralizowania społeczeństwa i utrzymania go w barbarzyństwie.

Tak, źle się u nas dzieje. Mamy dziennikarzy, którzy schlebiając nizkim instynktom mas, zatruwają ducha maluczkich obłudą i nienawiścią, bo zyskują za to popularność i pieniądze. Mamy działaczy politycznych, przerzucających się w pogoni za karyerą z obozu do obozu, sprzedających siebie i swoich, siejących kłamstwo, nienawiść i ciemnotę. Mamy sterników narodowej nawy, zawdzięczających stanowisko swoje protekcyi i nieposiadających żadnej

kwalifikacyi do prowadzenia powierzonych im spraw. Mamy kierowników młodzieży, tolerujących wszystkie wybryki młodej krwi. Mamy młodzież o nienasyconych pożądaniach, dla której użycie jest alfą i omegą istnienia, a wszystkie drogi prowadzące do karyery równie dobre. Mamy wreszcie lud rospolitykowany, a ciemny, domagający się wszyskich praw, a niepoczuwający się do żadnych obowiązków, z rozbudzonemi pragnieniami bez najmniejszego rozwoju kulturalnego. Tak, źle się u nas dzieje. Ciemnota i egoizm od góry do dołu, a obok tego apatya, niedołęstwo, często zła wola. Zobaczmy jednak, czy nie postępujemy ku lepszemu, czy rzeczywiście dla ogólnego podniesienia społeczeństwa nic się nie robi. Zacznijmy od oświaty, która jest pierwszą pochodnią postępu, a co za tem idzie — rozwoju etycznego.

Dział oświaty w budżecie krajowym przedstawiał w roku 1870 kwotę 40,000 fl., wyraźnie: czterdzieści tysięcy na wszystkie cele oświaty. W roku bieżącym wyznaczył sejm krajowy na też cele: 2,639,000 fl., co nawet w zestawieniu z budżetem z przed laty dziesięciu, kiedy wydawano 895,000 fl, przedstawia olbrzymi krok naprzód. Należy przytem zaznaczyć, że tylko szkoły ludowe, gimnazya, oraz rolnicze i przemysłowe niższe są na etacie krajowym. Uniwersytety i szkoły wyższe utrzymuje państwo. Zważywszy, że Galicya jest ubogą i mało rozwiniętą przemysłowo, że podatki wyszrubowane są do niemożliwej wysokości, przyrost ten około 200.000 corocznie na oświatę świadczy, że nawet ci zacofani, ci samolubni przedstawiciele kraju, którzy uchwalają podatki i wydatki, stawiają na pierwszym planie rozwój jego kultury.

Słyszę już, jak posypią się w odpowiedzi na podane przezemnie cyfry zarzuty, słusznie zresztą, że mimo to 1/3 część dzieci w wieku szkolnym do szkół nie uczęszcza, ponieważ ich w bliskości niema, a liczba analfabetów w Galicyi wynosi około 300,000. Smutna to prawda, tylko że złe każde potrzebuje czasu na to, żeby zostało usuniętem i wtedy tylko jest złem nieuleczalnem, jeżeli nic się nie robi, aby je naprawić. Otóż w Galicyi robi się dużo, żeby podnieść i oświecić jak najszersze warstwy, robi się coraz więcej zarówno przez wydział krajowy, jak i przez ofiarność samego społeczeństwa.

Niedawne to przecie czasy, kiedy samolubna i apatyczna Galicya wybudowała gimnazyum w Cieszynie kosztem 200,000 fl. Teraz jest na ukończeniu szkoła w Białej, na którą w przeciągu trzech lat złożyliśmy drobnemi składkami około 50,000 fl. Ofiarnością ogółu, który należy do najbiedniejszych narodów w Europie, stanęło na kresach dwie strażnice, które bronią kraj od zalewu germanizacyi.

To jednak nie wszystko. Od czterech lat założone w Krakowie Towarzystwo szkoły ludowej wspomaga dzielnie w całej Galicyi pracę nad rozszerzeniem oświaty. Rozporządza ono funduszem kilkunastu tysięcy rocznie. Towarzystwo to oprócz szkoły w Białej wybudowało już kilka szkół w miejscowościach, gdzie największa objawiała się ich potrzeba; kilkudziesięciu gminom dało zapomogę na budowę szkół lub zaprowadzenie nauki języka polskiego; w kilkunastu miejscowościach zorganizowało szkoły dla analfabetów, które działają bardzo skutecznie.

Nadto rozwija owo stowarzyszenie w innych kierunkach swoją działalność celem podniesienia umysłowego jak najszerszych mas.

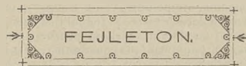
Trzydzieści kilka bezpłatnych wypożyczalni i czytelń, zostających pod kontrolą zarządu głównego, rozrzuconych po Galicyi, rozszerza znajomość literatury i podnosi poziom umysłowy warstw, które dotąd nie czytały nic lub czytały źle i bez wyboru. Ze sprawozdania krakowskich wypożyczalni, których jest cztery, dowiadujemy się, że w ciągu roku wydano 56,803 tomy 28,393 czytelnikom. Jeżeli zważymy, że wszyscy prawie oni należą do klasy pracującej i niezamożnej, musimy przyznać, choćby to czytanie żadnej innej nie przyniosły korzyści, prócz zdrowej i uczciwej rozrywki, że są instytucyą pożyteczną. Utrzymanie ich w Krakowie kosztuje około 1,000 fl., z których 300 daje znana z zacofania Rada miejska, a na resztę składają się znowu drobne datki.

Obok bezpłatnych wypożyczalni zapoczątkowało towarzystwo wykłady popularne, które w przeszłym roku odbywały się tylko w Krakowie, a obecnie po raz pierwszy urządzono kursy i na wsi. Powodzenie tych wykładów jak na początek było bardzo zachęcające. Na wszystkie prawie przedmioty uczęszczało stale po kilkaset słuchaczów, a doświadczenie przez tych kilka lat nabyte będzie wskazówką dla organizatorów, jak urządzać na przyszłość popularne kursy i jakie przedmioty najbardziej są pożądane.

Galicya choruje na przepolitykowanie. Uświadomieniem szerokich mas nazywa się tu nie nauczenie myśleć i czuć, nie wyrobienie godności obywatelskiej i poczucia praw człowieka, ale zbudzenie ambicyi i pożądań, do których te masy nie dorosły jeszcze rozwojem i które zaspakajają tylko w osobach swoich reprezentantów, wspinających się na karkach ich do góry.

Rzucić w te masy potrzebę oświaty i rozbudzonej myśli, zasiać zdrowem ziarnem nauki tę rolę leżącą ugorem przez wieki, a teraz po wzruszeniu politycznym pługiem zarastającą bujnie chwastem; zasilić dorobkiem duchowym ludzkości te warstwy, które dostarczają żywej krwi naszemu organizmowi — to byłoby dzieło.

Caeca.



PAMIĘTNIK.

Wybory ziemiańskie.

W ostatnim dziesiątku lat prasa warszawska nadała wyborom do władz Towarzystwa kredytowego ziemskiego wysoką wagę. Czego dawniej nie bywało, gazety posyłają na miejsce swoich sprawozdawców, zamieszczają szczegółowe telegramy o wyniku głosowania, opisują jego przebieg, uczty, toasty itd. Jest to podszrubowanie zwyczajnego faktu w celach wyłącznie dziennikarskich, dla nadania poczytności pismom śród tej klasy społecznej, która dotychczas uważana jest, jeśli nie za najzamożniejszą, to przynajmniej za najhojniejszą w ofiarach na pronumeratę. Dotychczas bowiem nikt nie wykazał, ażeby wybory ziemiańskie były czemś więcej, niż drobną zmianą osób tego samego charakteru, uzdolnień i przekonań, zmianą, która dla tej lub owej okolicy może posiadać znaczenie zaszczytnego wyróżnienia lub upokorzenia jednostki, w której wyrażają się zwroty opinii miejscowej, ale która zarówno dla kraju, jak dla instytucyi jest zupełnie obojętną. Czy radcą zostanie p. Andrzej, czy p. Piotr, to po za kołem jego sąsiadów i znajomych traci donioslość. W łonie bowiem Towarzystwa nie istnieją żadne wyraźne stronnictwa, krzyżujące się prądy lub interesy; mocne to naczynie jest stale napełnione jednorodnym żywiołem, w którem co najwyżej podnoszą się burze szklanki wody. Nigdy nie pękało i nigdy nie było odrutowywanem. Rzec nawet można, że to zbiorowe ciało ma jedną duszę, która wstępuje w każdego nowego członka, że te mury gmachu mają jakąś władzę ścierania różnic i upodobniania wszystkich według wspólnego wzoru. „Radca" Towarzystwa stał się typem tak mało zróżniczkowanym, jak np. trójkąt lub kwadrat i ogół wcale nie przypuszcza, ażeby było kilka gatunków radców.

Mimo to między wyborcami a ich przedstawicielami zachodzą ciągłe nieporozumienia, które wynikają stąd, że pierwsi należą przeważnie do pasierbów, a drudzy do pieszczochów losu, oraz stąd, że niejeden kandydat, zostawszy radcą, przedzierga się w odmienną istotę pod wpływem nowego otoczenia. Ten, który domagał się „ulg" dla stowarzyszonych, zakosztowawszy „władzy," uczuwa do niej wielki smak, a do ulg wyraźną odrazę. Podczas zebrań wyborczych składano są rozmaite wnioski reformacyjne do łaskawego uwzględnienia przez areopag ziemiański. Zwykle wszystkie one dostają odprawę, a tylko drobna cząsteczka bywa „wzięta pod rozwagę." I obecnie dano stowarzyszonym odpowiedzi na ich projekty, podane przed dwoma laty, odpowiedzi z małymi wyjątkami odmowne. Nie będziemy przytaczali tu szczegółowych żądań, gdyż musielibyśmy wyjść po za ramy naszego pisma na pole roztrząsań specyalnych, zaznaczymy tylko, że niektóre z nich, kilkakrotnie powtarzane, w gruncie rzeczy zasługują na baczniejszą uwagę, niż im poświęca Towarzystwo. Mamy tu na myśli głównie szturm do t. zw. „funduszu zapasowego." Ataki te zdradzają nie tyle chciwość stowarzyszonych, którzy pragnęliby rozerwać po kawałku wielki połeć, wiszący w śpiżarni Towarzystwa, ile bardzo uzasadniony niepokój o jego przeznaczenie. Odpowiedź Dyrekcyi Głównej w tym przedmiocie wykazuje naiwność rachub, złudzenie nadziei korzyści, ale nie przedstawia dostatecznej rękojmi, że ów fundusz nie ominie w przyszłości właściwych celów Towarzystwa. Wogóle odpowiedzi te pisane są lekką ręką referenta żyjącego w najlepszym ze światów i nieraz świadczą bardziej o jego zdolności do konceptu, niż poważnego traktowania rzeczy. Tak np. stowarzyszeni lubelscy domagali się, ażeby radcom i urzędnikom Towarzystwa zabroniono zajmować płatnych lub honorowych posad w innych instytucyach przemysłowo - finansowych. Macie na to bardzo prosty a skuteczny środek w ręku — odparto im — nie wybierajcie takich panów. — Słusznie, ale ziemianie lubelscy, którzy widzą szkodliwość łączenia urzędów, nie mogą zapobiedz, ażeby gdzieindziej nie wybrano owych jegomościów, siedzących na kilku stołkach. Niepodobna wprowadzić do ustawy paragrafu, że radcą nie może być lichwiarz, kontrabandzista itd., bo takie zastrzeżenia byłyby zbyteczne; ale łatwo i należałoby (zresztą nietylko w Towarzystwie ziemskiem) zawarować, że radcą powinien być człowiek nienależący do innej instytucyi finansowej, zwłaszcza że przecież on jest gospodarzem rolnym, a często bogatym. Ot poprostu nie chce się panom doić jednej krowy, lecz kilka. W tem tkwi cała filozofia.

Konieczna ostrożność.

Wszechświat nie należy do entuzyastów, a nawet do organizmów cieplokrwistych. Nie rozstaje on się z mieszkiem, z którego wypuszcza chłodny wiatr na wszystkie nowe postępy myśli ludzkiej. O ile wszakże jego mroźne podmuchy często nas rażą, o tyle ostatni, zwrócony przeciwko wynalazkom p. Szczepanika, a raczej przeciw wrzącemu sosowi reklamy, w której one pływają, uważamy za bardzo słuszny i pożyteczny. Nie mamy prawa przeczyć, że rodak nasz wpadł na szczęśliwe pomysły techniczne, bo naprawdę jest t

bardzo możliwe, a powtóre nie znamy dotąd samej rzeczy, tylko opisujące ją słowa. Żeby jednakże na kredyt zapewnić dziennikarskich mianować go „geniuszem,“ „polskim Edisonem“ i tym podobnymi tytułami w stylu reporteryi warszawskiej, to wydaje nam się zbyt śmiesznem i ryzykownem. Nie odmówimy p. Szczepanikowi żadnego z tych tytułów i przyznamy mu je z najgłębszą radością, ale niechże on nas przekona dowodnie, że na nie zasłużył. Tymczasem dotąd wiemy tylko od niego i jego wspólnika, że zapomocą swego przyrządu będzie przesyłał obrazy (co Edison uważa za niemożliwo), że dokonał przewrotu w tkactwie, że mu sprawiają kłopot zyskane miliony (!), że chętnie udziela reporterom „interviewów,“ że ubiera się elegancko, ale nikt dotąd nie widział jego wynalazków w działaniu. Sława nie jest wiązanką powoju, która musi być użytą natychmiast, bo inaczej zwiędnie; ona długo pozostaje świeżą. Pocóż więc tak gorączkowo splatamy wieniec na czoło „polskiego Edisona,“ kiedy jeszcze nic ściśle o wartości jego dzieł nie wiemy?

Wogóle zapanowała u nas jakaś epidemia wynalazcza. Niema prawie tygodnia, ażeby prasa nie doniosła o nowym „fluidzie,“ wydartym naturze przez naszych rodaków. Co z tych „fluidów“ stanie się za miesiąc? Jeśli nie wszystkie, to niezawodnie znaczna ich część wsiąknie w kolumny pism, które o nich głoszą. Natomiast mamy kilka starych „fluidów,“ zasługujących na pamięć i szacunek, a obecnie lekceważonych, mianowicie: rozum, wiedza, logika itd. Nie trzeba o nich zapominać.

Sport.

Jest to zjawiskiem zupełnie naturalnem i koniecznem, że szybki rozwój rozmaitych „sportów“ u nas odbija się w literaturze i prasie. Mamy więc już powieści osnute na rowerze, mamy trubadurów na łodziach i welocypedach, mamy wreszcie osobne pismo *Sport*, przekształcony z *Cyklisty*. Jest ono redagowane z wielkiem zamiłowaniem i umiejętnością. Jego erudycya w znajomości historyi „stajen“ i ich bohaterów zdumiewa. Umie ono szczegółowo wyłożyć *pedigree* i *performance*, *kondycyę* każdego *cracka* lub *steeplera*, wymienić wszystkie zwycięztwa każdego *championa* itd. Z pierwszego przytem numeru dowiadujemy się wielu nowin bardzo ciekawych i ważnych. I tak: przy nieco dłuższym *trialu* przewaga pozostałaby po stronie Sarkazma; we wtorek p. S. sam *leaderował* dwulatka The Bralo Lad w pierwszych jego *cantrach*; Wildfowler *outsider* został w tegorocznem Derby pobity przez niezbyt klasowego Bonnebosq itd. Najcenniejszą wszakże z tych wiadomości jest, że Metampsycose, *„wyborna córka Pythagorasa*, biegała w tym roku dziewięć razy, z których siedem miała pierwsza celownik.“ Nikt dotąd nie przypuszczał, że Pytagoras miał córkę tego imienia i że się z niej doczekał tak wielkiej pociechy. Prawdziwie może mu jej pozazdrość „Kordecki,“ który także miał dzielne potomstwo.

Pytacie zapewne, w jakim języku jest pisany *Sport?* A no, z powyższych przytoczeń osądźcie jego językową *performance.*

Obrona.

Czytelnicy przypominają sobie zajście w szkole czernichowskiej (Galicya), z którego wyciągnięto niegodziwe zarzuty przeciw kształcącej się tam młodzieży z Królestwa. Że kłamstwo, ogłoszone w „komunikacie,“ posunęło się za daleko, dowodem list dyrektora szkoły w Dublanach do *Wien. Landw. Ztng*, broniący pokrzywdzonych. „Czyniąc zadość prawdzie — pisze p. Frommel — poczuwamy się do obowiązku skonstatowania, i to na podstawie zebranych przez ciało nauczycielskie w Dublanach doświadczeń w ciągu lat czterdziestu, iż ten tak ciężki i potępiający zarzut o „wszelkie pojęcia przechodzącem zdziczeniu“ i „prawie beznadziejnym upadku moralnym,“ w jakim znajdują się uczniowie, pochodzący z Królestwa Polskiego, tak iż „o uszlachetnieniu umysłów tychże nawet mowy być nie może,“ nietylko nie dotyczy pierwotnych i obecnych uczniów krajowej wyższej szkoły roln. w Dublanach, pochodzących z Królestwa Polskiego, ale nadto należy dodać, że znajdująca się tak u nas, jak w niemieckich i czeskich szkołach rolniczych i uniwersytetach młodzież z Królestwa Polskiego należała i należy w większej części zawsze do dobrych, a nawet do najlepszych uczniów, co stwierdzamy na podstawie ustnych i piśmiennych sprawozdań ciał nauczycielskich.“

Jakkolwiek obrona p. Frommla dotyczy bezpośrednio Dublan, pośrednio jednak sięga dalej i oświetla należycie rzetelność komunikatu czernichowskiego. Niepodobna zaś jej odeprzeć twierdzeniem, że tylko do Czernichowa spływają męty, bo w takim razie należałoby przyznać, że tam one są przyciągane jakąś szczególną siłą, bądź co bądź zależną od ustroju szkoły i jej składu nauczycielskiego.

Pisma dla szpitali.

Myśl dostarczania chorym w szpitalach pism peryodycznych nie jest nowa, przeciwnie, należy ona do tych zleżałych projektów, które co pewien czas są wydobywane z zapomnienia i trzepane w prasie. Obecnie wskrzesił ją p. Chwat. Jak dawniej uzyskała ona poparcie w dziennikach, zebrano nawet składki na kupno skrzynek ulicznych, do których mają być wrzucane numery czasopism po przeczytaniu. Życzymy temu przedsięwzięciu powodzenia, ale ponieważ nie znamy w naszem społeczeństwie ani jednej instytucyi, opartej na stałem i cichem poczuciu obowiązku; ponieważ przypuszczamy, że z obecnego zapału za rok tlić się będzie zaledwie kilka iskierek, innemi słowy — że ogół o skrzynkach dla chorych zupełnie zapomni, wolelibyśmy przeto, ażeby redakcye bezpośrednio zaopatrywały każdy szpital jednym egzemplarzem swego wydawnictwa. Chorzy mieliby mniej do czytania, ale mieliby ciągle. Tymczasem zależąc od skrzynek, pewnego dnia otrzymaliby kilkaset numerów czasopism, a przez dwa tygodnie żadnego.

Szpital wolski i sale zarobkowe

Obie te instytucye związane z sobą terytoryalnie, są poniekąd uzależnione wzajemnie. Szpital gwałtownie wymaga rozszerzenia i zorganizowania oddziału chirurgicznego. Nie można zaś tego czynić ze szkodą sal zarobkowych. Stosunek obu zakładów w tej mierze już był kilkakrotnie regulowany; dotychczas jednak interesy ich, a więc i losy przyszłe zależne od sprawy terytoryalnej, nie były należycie wyświetlone. Dopiero doktór Józef Jaworski przedsięwziął tę pracę dość mozolną: podjął poszukiwania w aktach szpitalnych i na podstawie ugrupowanego materyału w kartce historyczno-prawnej („Szpital wolski“ — odbitka z *Kroniki Lekarskiej*), dał pewne wskazówki, których uwzględnienie mogłoby wpłynąć na pomyślny rozwój i istnienie obu instytucyi: sale zarobkowe Staszica rozporządzają naprzód wielką posesyą, wynoszącą dziewięćdziesiąt kilka łokci kwadratowych, powtóre — wielkim kapitałem — przeszło 200 tysięcy rs.— umieszczonym w papierach procentowych. Szpital sąsiadujący, o ile ma spełniać nie połowiczne zadanie, również rozszerzony być musi przez wybudowanie nowego pawilonu. To rozszerzenie wszakże nie da się inaczej uskutecznić, jak tylko na drodze legalnej, prawem ściśle określonej i wskazanej. Wzmiankowana posesya jest tak obszerna, że miejsca starczy i na nowe warsztaty, i na budynek szpitalny. Trzeba więc tylko, aby Rada miejska przystąpiła do kupna placu odpowiedniego. Instytucya sal zarobkowych Staszica jest prawomocną dopełnić takiej tranzakcyi, sam zaś akt sprzedaży musi być zatwierdzony przez ministra spraw wewnętrznych. Są jeszcze dwa sposoby: wydzierżawienie gruntu (najwyżej na lat 24) i wybudowanie na nim baraku, albo — wywłaszczenie na mocy Ukazu Najwyższego. Zasługuje tedy na szczere poparcie i uznanie myśl dr. Jaworskiego; jest ona bowiem najłatwiejsza do wykonania i posiada doniosłość społeczną.

Wojna i zboże.

Gdzie się dwóch bije, tam trzeci korzysta. Przysłowie to stało się prawdą ekonomiczną. Wojna hiszpańsko-amerykańska jest na rękę ziemianom naszym i wogóle wszelkim wytwórcom rolnym w obrębie całego państwa rosyjskiego. Dostawa zboża z za oceanu do Europy będzie znacznie utrudniona, skutkiem czego otworzą się dla rolników z Cesarstwa i Królestwa rynki zagraniczne, dotąd zawsze przepełnione taniem i obfitem zbożem amerykańskiem. Odczują to dodatnio nietylko ci, którzy wysyłają swój produkt za granicę, lecz i drobni gospodarze, zbywający ziarno na rynkach krajowych. Wogóle bowiem znaczne zapotrzebowanie zboża naszego przez kupców obcych zwiększy popyt także w kraju. Już dziś zjawisko to daje się spostrzegać dość wyraźnie: Natychmiast po wypowiedzeniu wojny zaczęto u nas notować stosunkowo znaczną i szybką zwyżkę zboża. W Cesarstwie również dzieje się to samo. Między innemi z Syzrania telegrafują, że w ciągu trzech dni żyto zdrożało o 10 kop. na pudzie. Ponieważ wojna, ze względu na swój charakter partyzancki, zapowiada się na długo, więc można przypuszczać, że i zwyżka cen zboża nie będzie objawem chwilowego wahania.

BADANIA NAUKOWE.

Wincenty Zakrzewski: *Adolf Pawiński (1840—1896)*. Zarys dziejów żywota i pracy. Petersburg, 1897 r.

Autor przedsięwziął skreślić działalność obywatelską i naukową zgasłego przedwcześnie historyka. Zmarły pracował gorączkowo. Podczas pobytu swojego w Getyndze przejął się krytycyzmem i ścisłością metody Waitza, mistrza kształcącej się tam młodzieży. Przez recenzyę pracy Hubego o prawie salickiem (*Gazeta Warsz.* 1867 r.) zjednał sobie odrazu uczonego prawnika, który mu wyrobił posadę, pozwalającą korzystać z dokumentów Archiwum Głównego. W kilka dni po tej nominacyi otrzymał docenturę historyi powszechnej przy Szkole Głównej, gdzie wygłosił prelekcyę: o prawach rozwoju w historyi (1868 r.). Odczyt młodego docenta nie obudził w sercach słuchaczów sympatyi, bo prelegent, nie mogąc ukryć tajonej niechęci do Buckle'a, wziął myśliciela angielskiego za cel swojej zjadliwej krytyki.

Była to naonczas chwila przełomu, kiedy młodzi publicyści nawoływali ogół do pracy organicznej, zaszczepiając wszędzie zasady indukcyi. Pawiński wychowany w zacieśnionej tradycyi, nie rozumiał tego prądu, będącego wynikiem nauk ścisłych. On był filologiem szkolnym w du-

chu przestarzałych zasad XVI w. Trup ten zabalsamowany żył i żyje dotąd sztucznie w uczelniach. Zapał, ogarniający płomieniem umysły ówczesnej młodzieży, nie mógł rozgrzać filologa, zwłaszcza że publicyści z siłą, właściwą młodości, kruszyli dawne bałwany urojeń i przesądów.

Zgasły historyk w artykułach i odczytach swoich wyzywał na ostre śmiałych szermierzy pióra, acz się z nimi uporać nie umiał.

Wpływ jednak nowego kierunku oddziałał w pewnej mierze i na niego, popchnął go do badań nad rozwojem społecznym. Pawiński pragnął przygotować plenną dla przyszłych pracowników glebę, a może zamierzał stworzyć dzieło pragmatyczne. Szperając w archiwum, zbierał liczne materyały i w „Źródłach dziejowych“ do wiadomości publicznej podawał. W absolutyzmie widział on potęgę państwa, upodobawszy sobie Stefana Batorego. W tom. VIII i IX „Źródeł dziejowych“ obdarzył nas pięknemi pracami o skarbowości i księgach podskarbińskich z czasów Batorego. Opisał pod względem geograficzno-statystycznym Wielkopolskę, Małopolskę i dzieje ziemi kujawskiej. Wyjaśnił genezę sejmów i sejmików, których natura, odrębna od podobnego rodzaju urządzeń reprezentacyjnych na zachodzie, przedstawia w zasadzie charakter kongresowy.

Autor dosyć szczegółowo opisuje te prace, opatrzywszy książkę swoją spisem bibliograficznym dzieł nieboszczyka.

J. F. Gajsler.

POKŁOSIE POETYCKIE.

Kazimierz Przerwa-Tetmajer: *Poezye*. Serya III. — Selim (Władysław Bukowiński): *Z marzeń i życia*. — Jan Iwański: *Poezye*. — Edward Słoński: *Dla mojej* ...

I.

Istnieje w matematyce pewna kategorya równań, które się zowią nieokreślonemi, a których nieokreśloność polega na tem, że możebna jest w nich nieskończona liczba jednakowo dobrych rozwiązań. W estetyce takich zagadnień jest znacznie więcej, a kwestya *formy* w poezyi należy chyba do najbardziej nieokreślonych. Wywołała ona od niepamiętnych czasów bardzo wiele rozwiązań, ale nie wszystkie, jak w matematyce, są równie dobre i wystarczające. Pochodzi to być może z błędnej metody przykładania do utworów poetyckich miary historyi albo socyologii, filozofii, albo ekonomii. I jakże tu dojść do jakichkolwiek rezultatów, kiedy ocena tonu poetyckiego odbywa się przeważnie w sposób mniej lub więcej następujący: „p. X. wjednym ze swoich wierszy wypowiada pewną myśl — myśl ta jest zupełnie bezpodstawna, mylna i szkodliwa — *ergo* p. X. nie jest poetą. Co gorsza, ten sam autor, w tym samym zbiorze, o kilka kartek dalej wypowiada myśl biegunową, sprzeczną. Gdzie tu logika, gdzie konsekwencya, gdzie zdrowy rozsądek? P. X. stanowczo nie jest poetą! I jakżeż my możemy mieć do niego choćby odrobinę zaufania, skoro w jednym wierszu apoteozuje ból i umartwienie, w innym użycie i zmysłowe rozkosze, raz modli się do natury, innym razem ją przeklina, tu wydzwania pobudki do czynu, gdzieindziej tłucze czołem przed apatyą i nirwaną?“

We wszystkich podobnych rozumowaniach niema zupełnie miejsca na rozważenie i zbadanie takiej bagatelki, jaką jest sam język naszych poetów. Można zarzucić Krasińskiemu bardzo słusznie pietyzm, szlachetczyznę, arystokracyę — któż mu jednak zarzuci, iż nie jest wielkim poetą? Poeta podobny jest bardzo do poganina: niechby tam sobie w swojej wielobożnej świątyni nie potłukł dawnych bożyszcz, zanim sobie uciosa nowe! Niechby tam one wszystkie — i dawne i dzisiejsze stały razem: różnogłosé, wielojęzyczne, kłócące się, niechby; niechby tylko każde miało swoją własną żywą twarz, niechby było krzykiem tych myśli, które mu rozsadzały czaszkę, kiedy w nie wierzył; niechby było wyrwanym kawałem jego duszy! Możnaby tylko zrazu stanąć przed tymi posążkami i spytać ze zdziwieniem: dlaczego one wszystkie mają takie różne, takie niepodobne twarze, kiedy je lepiono z jednej gliny, z jednego *języka?* A potem możnaby patrzeć tylko na te twarze i wyczytać z nich, jak z książki, historyę duszy poganina — wyczytać z samej tylko gliny, *z samego języka*, z samego tylko kształtu, w który przekuł swoją treść i swoje życie. Ten kształt, ta *forma*, wyciosana z materyału języka — to jest połowa ważniejsza samego dzieła, bo ona stanowi właśnie to, co poeta w nie wkłada; ona jest tem, co go na pierwszy zaraz rzut oka wyróżni od wszystkich innych piszących. To nie jest kwestya umiejętności władania wierszem, braku błędów gramatycznych, kunsztu architektoniki strofzowej, melodyjności wiersza, prawidłowości średniówek, albo tężyzny rytmów — to jest wyrywanie się całym rozpędem twórczych skrzydeł z ciasnego kurnika wytartych porównań, spłowiałych obrazów i przenośni, konwencyonalnych zwrotów i stęchłych tematów wyrażania myśli. To nie jest bezmyślne cackanie się pustymi dźwiękami, ani dekoracyjne układanie bukietów o pstrych kolorach i niebywałych kształtach — to jest taka sama pożyteczna praca cywilizacyjna, jak np. tworzenie hipotez o powstawaniu mgławic, albo poszukiwanie nowych związków chemicznych.

Wre dzisiaj taka praca u nas na całej linii, choć się tyle mówi o zaniku twórczości poetyckiej. Ale odbywa się ona w warunkach bardzo smutnych i niekorzystnych. Tetmajer, Niemojewski, Lange, Miriam, Kasprowicz na czele, a za nimi tyle, tyle młodych, szczerych, prawdziwych talentów — czyż to nie rozkwit poezyi? Łatwo jest bardzo machnąć na nią ręką, ale daleko pożyteczniej byłoby rozejrzeć się w niej bliżej i ocenić całą jej doniosłość. Łatwo jest historykowi wspiąć się na drabinkę szerokich uogólnień i cisnąć stamtąd tym pracownikom na pociechę sakramentalne słowa: fatalizm, praca dla jutra, geniusz przyszłości; ale im daleko trudniej jest pogodzić się z tą dolą twórczości bez echa. Bo masa, ta ogólna szara masa mózgów i dusz jest dziś na głos poezyi zupełnie obojętna. I jak tu pogodzić z tym faktem stanowisko poetów, których w dzisiejszym rozkwicie jest może więcej, niż kiedykolwiek, a których rola i stanowisko w oderwaniu od tej masy są poprostu śmieszne? Jakże pogodzić to z powołaniem poety prowadzić wszystkich pod jednem hasłem wieku, kiedy wiek ten nie ma właściwie swojego określonego hasła, bo rozstrzeliło się ono na milion drobniuchnych proporczyków, zróżniczkowało na tysiące rozmaitych pobudek i zawezwań? Jakżeż tu przyjąć bez protestu i szemrania ten niewidzialny, bezblyskawicowy udział „boju atomów,“ choćby w pełnej świadomości, że się kiedyś wyłoni z niego i urodzi „bój olbrzymów,“ to bolesne szamotanie się samotne i krzesanie skier na drobnej piędzi ziemi, choćby z pełną samowiedzą, że z tych skier powstanie kiedyś błysk, który rozwidni obszary? Trudno sobie wyobrazić smutniejszą dolę i większy tragizm zaparcia się.

A jednak praca wre dalej.

Tetmajer np. w krótkim czasie wydaje już trzeci tom poezyj. Zaznaczę przedewszystkiem pokrótce jego sylwetkę duchową, a potem dodam, co ten trzeci tom przynosi nowego w porównaniu z dwoma pierwszymi. Kiedyś zdarzyło mi się przeczytać bezpośrednio jeden po drugim dwa wiersze: „Hymn do Wenery Arlezyjskiej“ prowansalczyka Aubanela, porywające plastyką, gorącą i szczerą zmysłowością, estetyczne wyznanie wiary południowca, oraz wiersz Tetmajera: „Narodziny Afrodyty.“ Uderzyły mnie w nich nie analogie przekonań estetycznych, nie podobieństwa w przedziwnie wyrafinowanej plastyce opisu ciała kobiecego, ale powinowactwo dwu zdrowych natur poetyckich, jednakowo wchłaniających w siebie zjawiska życia. Jeżeli organizacya twórcza ma w sobie jakiekolwiek cechy żywego ustroju, jeżeli otaczający ją świat, współrzędność i kolejność zjawisk stanowią w jakiejkolwiek formie i w jakiemkolwiek natężeniu podrażnienie tego ustroju, to sama twórczość artystyczna, a szczególniej poetycka w swojej najczystszej formie i przejawie — jest tylko odbiciem tego podrażnienia. Otóż, nie mówiąc nie jeszcze o wewnętrznem znaczeniu poezyj Tetmajera, trzeba zaznaczyć przedewszystkiem, że tę przyrodzoną zdolność refleksów, ową możebność *bezpośredniego* oddziaływania na podniety zewnętrzne posiada on w stopniu znacznie wyższym, niż wszyscy poeci dzisiejsi. Powiedziałem *bezpośredniego* i chciałbym zarazem zastrzedz, że nie twierdzę zupełnie, jakoby inni poeci dzisiejsi odczuwali te zjawiska mniej silnie od niego; tylko że jego organizacya percepcyjna jest zdrowsza od innych. Wyjaśnię to bliżej. Są siatkówki, które zupełnie nie reagują na niektóre promienie widma słonecznego. Zowie się to zjawisko *daltonizmem* i dotyczy kolorów czerwonego, zielonego i fioletowego. To jest rzecz naukowo stwierdzona, ciekawa i szczególna. Stokroć jednak ciekawszym i szczególniejszym jest fakt, że, jeżeli człowiekowi, który poprostu nie wyczuwa barwy, przypuśćmy, czerwonej, podamy różę i spytamy o jej kolor, odpowie nam bez namysłu: czerwona. Co to znaczy? To znaczy, że dany przedmiot od dzieciństwa już wywoływał w nim pewną kombinacyę wrażeń wzrokowych, zupełnie nieskładających się na barwę czerwoną, ale ponieważ ten sam przedmiot przez otaczających go zawsze był nazywany czerwonym, więc i on go teraz stale tak nazywa, chociaż przedmiot sam przez się może wywoływać w jego oku pewien odcień zielonego lub innego jakiego koloru. Częstokroć ludzie umierają, zupełnie nie wiedząc o tem, że przez całe życie byli daltonistami. Coś bardzo podobnego dzieje się i w sferze umysłowej, a raczej wrażeniowej. Mówimy bardzo wiele, szczególnie wierszem, o zjawiskach, wrażeniach, uczuciach najzupełniej nam obcych, nie dlatego, żebyśmy je mieli kłamać, przeciwnie, jesteśmy głęboko przeświadczeni, że one rodzą się z nas samych i z nas samych wypływają. Tymczasem w istocie my ich zupełnie nie odbieramy na siatkówce naszego poznania; tylko niejasne, oderwane pojęcia o nich wsiąkają w nas przez pory przestarzałych schematów wyrażeniowych, panoszą się na równi z prawdziwemi, odczutemi wrażeniami i tworzą sztuczną poezyę. I to jest bardzo znamiennym rysem poezyi współczesnej. Na tem właśnie polega wyjątkowość liryki Tetmajera, że w skład jej nie wchodzą zupełnie takie *pseudo-wrażenia*; i dlatego nazwałem go naturą zdrowszą od innych.

Z takiej niezwykłej, bezpośrednio reagującej organizacyi, dadzą się wyprowadzić dwie krańcowo różniące się katego-

ryc twórczości poetyckiej: z jednej strony sensualizm, wrażenia plastyczne, wyrafinowanie zmysłowe, z drugiej pesymizm, refleksya, wizyonizm światów nadzmysłowych, żądza niedosiężnych głębin i nieprzejrzanych perspektyw. Przedewszystkiem zmysłowość: raz ta wschodnia, paląca, pełna ekstatycznych omdleń i zachwytów — z niej urodziła się cała erotyka Tetmajerowska, jedyna swojego rodzaju w naszej literaturze, oburzająca filisterstwo i pruderyę, taka prawdziwa i szczera, której każda zwrotka dzwoni, jak pocałunek pąsowych ust. Tej daleko mniej mamy w seryi III. Drugi raz to wielkie, spokojne, ciche, greckie ubóstwienie kształtów i linij, które przepaja nawskroś istotę poety, które występuje nadzwyczaj silnie w seryi trzeciej, a najbardziej może typowo w „Dyskobolu.“ Z tego źródła także wypływa przepyszna opisowość w tym tomie.

(D. n.).

Władysław Sterling.

LITERATURA WŁOSKA.

Franco Ridella: *Una sventura postuma di Giacomo Leopardi*, Turyn, 1897. — D'Annunzio i jego szkoła.

Italia ma wkrótce święcić jubileuszem pamięć Leopardiego. Należało ją jednak oczyścić przedtem z potwarzy, któremi ją zbrudził najlepszy przyjaciel wielkiego poety, Ranieri, w książce zatytułowanej „Sette anni di sodalizio“ („Siedem lat pożycia wspólnego“). Pracy tej podjął się dr. Franco Ridella.

Ranieri przedstawił wieszcza jako zwykłego pasorzyta, który w ciągu siedmiu lat wyzyskiwał jego dobroć i kieszeń. Z udanym smutkiem krytyka, a za nią i społeczeństwo zawołały: „L'uomo e demolito, rimane l'artista.“ Ridella wykazuje, iż te łzy krokodyle są przedwczesne. Zaszła zwykła w takich wypadkach historya: znajomi lub przyjaciele człowieka talentu, nie mogąc się pogodzić z tem, iż świat go wyodrębnia i uważając to sobie za obrazę osobistą, zajęli się obrzucaniem jego imienia błotem po śmierci, a nawet za życia. Jeżeli otrzymali odeń jakąś przysługę, za którą odpłacili inną, to nie łatwiejszego, jak zamilczeć o pierwszej a trąbić na wszystkie strony o drugiej: odrazu oni wyrastają na dobroczyńców, a on na pasorzyta, którego, jak wyobrażają sobie, można kopać bezkarnie. Szczęściem, iż prawda w takich wypadkach wychodzi w końcu na jaw.

Przysługa, która w innych razach bywa nader materyalna, w danym nosiła charakter idelny, ale niemniej doniosły. Ranieri był człowiekiem niesłychanie próżnym, ale za to zupełnie niezdolnym: nie miał nic oprócz fortuny i pięknej powierzchowności. Uczepiwszy się Leopardiego, doszedł wreszcie do sławy: nigdy nie wspominano jednego, aby drugiego jednocześnie nie wymienić. Pięćdziesiąt lat korzystał z tego rozgłosu, który w końcu wydał mu się niedostatecznym. Chciał go powiększyć na koszt Leopardiego. Oto w jaki sposób Ranieri przedstawia początek swych dobrodziejstw. Pewnego wieczora miał zastać poetę całego we łzach z powodu nędzy, która go wypędzała z Medyolanu napowrót do rodzinnej mieściny Recanati, co byłoby dlań śmiercią umysłową. „Leopardi — zawołałem — nie pojedziesz do Recanati. To, co posiadam, starczyć będzie dla utrzymania nas obu. Nie rozdzielimy się nigdy i darującym nie jestem ja, lecz ty.“ Miało to być w r. 1830. Otóż Ridella okazuje z dowodami w ręku, iż w tym czasie Leopardi miał pewne środki, iż powrotem do Recanati bynajmniej zagrożony nie był i że cała scena, opisana przez najserdeczniejszego przyjaciela, jest zwykłym fałszem.

„W połowie września 1831 r.—powiada Ranieri w dalszym ciągu — Leopardi zaczął pluć krwią; zwróciłem się ponownie do doktorów, którzy oświadczyli mi, że dla uratowania chorego muszę go zawieźć do Neapolu albo przynajmniej do Rzymu. Nie mogłem pojechać do Neapolu; zdecydowałem się przewieźć go do Rzymu za jakąkolwiek cenę.“ Ranieri daje do zrozumienia, iż do Neapolu powrócić nie mógł dla powodów politycznych. Jest to nieprawda: już przedtem ogłoszona była amnestya, a jeżeli Ranieri wybrał się do Rzymu, który dla suchotników bynajmniej nie jest odpowiedni, to dlatego, iż bawiła tam wówczas słynna śpiewaczka, pani Pelzet, w której kochał się na zabój. Leopardi pojechał z nim wbrew swej woli i uczynił w tym wypadku ofiarę dla przyjaciela. W grudniu 1831 r. pisał bowiem do brata swego Karola: „Wyjazd do Rzymu był z mej strony jak największą ofiarą: wszystko, co wygrywam na tym pobycie, to że rujnuję me finanse.“ Otóż Ranieri twierdzi, iż utrzymywał wowczas Leopardiego.

I mamy jasne dowody, że prawda jest po stronie Leopardiego. Z Rzymu udano się do Neapolu. Ranieri twierdzi, iż tu poeta był jego gościem i żył zupełnie na jego koszcie.

W odpowiedzi na to Ridella przytacza niezbite dowody, iż Leopardi otrzymywał od swojej rodziny około 100 fr. miesięcznie i że przy ówczesnej taniości mógł żyć świetnie w Neapolu. Ranieri dodaje: „Być może, iż rodzina przysyłała mu cokolwiek, ale ja o tem nic nie wiedziałem.“ Znów kłamie bezczelnie, gdyż zabierał te pieniądze. A mianowicie, po wyjściu jego książki rodzina zmarłego poety, oburzona na jej autora, poczyniła poszukiwania i odnalazła całą kupę weksli, wystawionych przez Giacomo, które ona spłacała. Otóż wszystkie te weksle były pisane ręką Ranieriego; Leopardi, chory na oczy, podpisywał je tylko. Fakt ten natychmiast przez rodzinę ogłoszony został i Ranieri nic nie odpowiedział, a nawet usiłował potem wycofać z obiegu swój paszkwil. Krewni zaś jego starali się usprawiedliwić go, jako waryata.

Oto co Giuseppe Ranieri — brat tamtego — powiada: „Nie mogę zrozumieć, czemu Antonio ustąpił pokusie napisania pewnych rzeczy i wydrukowania ich. Gdy mi mówił o swym projekcie, powstrzymywałem go i odradzałem; uparł się i źle uczynił. Można tylko jedno przytoczyć na jego uniewinnienie: w ostatnich latach swego życia nie był w pełnym rozsądku. Ridella jednak wykazuje, iż Ranieri za waryata uważany być nie może.

Literatura włoska znajduje się obecnie pod wszechpotężnym wpływem z jednej strony d'Annunzia, z drugiej — Lombrosa. Przeciw pierwszemu z nich uknuto z początku prawdziwy spisek milczenia. Jeszcze przed czterema laty, gdy wszystkie jego główne dzieła były wydane, zbywano go lekceważeniem, odmawiając nawet talentu. Dopiero gdy zdobył w Europie uznanie i sławę, we Włoszech nastąpił zwrot gruntowny: nikt już nie myśli przeciwstawiać mu Vergi, Capuany lub Fogazzara — d'Annunzio trzyma niepodzielnie berło w literaturze włoskiej i wytworzył już nawet szkołę, do której zaliczają się utalentowani pisarze, jak Butti, Ciampoli, Zuccoli i inni.

Wzięli oni od mistrza staranność języka i formy artystycznej, a także filozoficzno-naukowy i symboliczny charakter treści. Jest tu taż sama dążność do wytworzenia subtelnej mieszaniny z prerafaelizmu Rosettiego, z teoryj Nietzschego i Wagnera. Naukowej podstawy udzielają im teorya walki o byt Darwina i doktryna, która w zwyrodnieniu upatruje źródło zarówno talentu, jak i występku, wszystkiego, co się znajduje pod lub nad średnim ludzkim poziomem. Ta ostatnia hipoteza wydaje się nam w zasadzie fałszywą: zwyrodnienie może towarzyszyć talentowi (jako „epi-fenomen“), bynajmniej go nie stanowiąc, ale, co główniejsza, ona pod względem piękna musi z czasem wywołać skutki jak najbardziej opłakane. Doktryna ta jest usystematyzowaniem tej ślepej nienawiści filistra, która w życiu społecznem tępi wszelką samoistność, wszelką oryginalność, wszelką myśl twórczą. Powodzenie paradoksów Lombrosa kryje się w tem, iż pochlebiają one ukrytej zawiści tłumu. Niestety, duch stadny w ludziach jest tak potężny, iż nawet śród osób inteligentnych i utalentowanych czuć się daje ten popłoch, który towarzyszy zwykle rozbiciu okrętu. „Sauve qui peut!“ Naturalizm, jako wrzekoma oznaka zdrowia, wyzyskał tę obawę wszelkich fantazyj i stąd wielki jego rozkwit. Annunzio wykazał śmiałość niesłychaną, reagując przeciw tej panice: bohater „Trymfu śmierci“ jest zwyrodnialcem Lombrosa, ale autor komplikuje ten typ wykazaniem rozkładu energii, wywoływanego w mężczyźnie przez kobietę. Jak rzekliśmy, wpływ d'Annunzia na młodych pisarzów włoskich wyraził się nietylko w formie zewnętrznej, ale także w treści i poglądach. Wzorem mistrza na każdym kroku przerywają opowiadanie, aby przeplatać je refleksyą filozoficzną, która zwykle obraca się koło tematów poruszonych przez d'Annunzia. I oni także starają się nadać swym powieściom znaczenie symbolów poetycko-naukowych. Tak Butti zapowiada cykl romansów — o pierwszym z nich, „Uroku,“ już mówiliśmy — w których ma dowieść wpływu zniszczenia, jaki wywiera czynnik żywiołowy, ogólny i stały w rodzaju miłości na jednostkę. Kobieta jest istotą poziomą i złą, najpotężniejszym nieprzyjacielem osobowości, demonem symbolicznym gatunku, a miłość ciągłem oszustwem, wybiegiem natury, służącym dla zachowania rodzaju.

Źródłem oddalonem wszystkich tych dziwactw jest misogynizm Schopenhauera, który przekradł się do pism Nietzschego, chociaż w sposób nie tak systematyczny. Cała ta doktryna wydaje się nam tylko wielkiem nieporozumieniem. Niema dźwigni, któraby potężniej pobudzała i egzaltowała osobowość, niż uczucie miłości. Wprawdzie słabi i niedołężni z łatwością się rozbijają w tej próbie, ale mężni wychodzą z niej tylko coraz silniejsi. Ona wyprowadza na światło wszystkie ukryte potęgi naszej duszy i jest najlepszym probierzem jej hartu. Szkoda, iż d'Annunzio, który w „Piacere“ napisał wspaniały hymn miłości, w „Tryumfie śmierci“ przedstawił ją jako siłę rozkładową. Objaśnia się to potrzebą odnawiania się, chociażby za cenę logiki i wierzeń wewnętrznych. Tak samo w sprawie zwyrodnienia: byleby mu przyznano talent, gotów on drapować się w płaszcz zwyrodnialca, śmiejąc się zapewne w duszy z łatwowiernych. Nie znam bowiem pisarza, któryby był bardziej pogańską i zdrową naturą; ale jako artysta jest to kawał histryona i kameleona, mieni się wszelkiemi barwami, aby się dopasować do otoczenia.

Na drodze waryacyi znajdujący się Nietzsche przyczynił się także do zmieszania jego pojęć, a w głowie uczniów d'Annunzia wszystkie te teorye, mające po części pewną podstawę naukową i życiową, stają się zupełnie niedorzeczne.

Zuccoli np. w swym romansie, „Roberta,“ wprowadza dwie siostry, blondynkę i brunetkę, które tworzą rodzaj grupy prerafaelitycznej, na wzór „Vergini delle

rocco.“ Jedna z nich, Roberta, jest skazana na śmierć, a druga, Emilia, tchnie zdrowiem jak najrozkoszniejszem. Wiąże je miłość jak najczulsza. Emilia leczy siostrę i w żaden sposób nie chce się pogodzić z myślą o jej śmierci. Stan chorej wciąż się pogarsza i wreszcie sprowadzony zostaje nowy lekarz, Cezar Lascaris, który tłomaczy Emilii, iż jest czystem szaleństwem z jej strony przywiązywać się do istoty zwyrodniałej i skazanej na śmierć. Lascaris jest piękny i młody, nauki jego nie poszły na wiatr, gdyż zapanował nad sercem i umysłem pięknej wdowy. Rozum—ten faktor uczucia — zaczął jej wkrótce tłomaczyć, iż jej wysiłki na nic się nie przydadzą, chyba do przedłużenia tej agonii lub do zdobycia samej śmiertelnych zarodków.

„Nie przywiązuj się napróżno do Roberty — mówił jej zdrowy rozsądek—ona jest skazana. Ty jesteś po stronie życia, ona — śmierci. Ty masz prawa tych, których geniusz Gatunku stworzył dla utrzymania jego ciągłości: Roberta zaś ma tylko obowiązek wyrzeknięcia się, obowiązek, który wskazują jej choroba i niebezpieczeństwo zarazy.“ Lascaris dopiął swego celu, wprowadził rozdział pomiędzy siostry, ale kocha je obie jednocześnie, gdyż one wzajemnie się dopełniają. Chora blondynka związała się na zawsze ze zdrową brunetką w jego umyśle. Żądzą zwraca się to do jednej, to do drugiej, to ku obu naraz.

Emilia zostaje przy siostrze już tylko z obowiązku, prawie z żalem. Roberta, czując się ciężarem i nie chcąc im stać na przeszkodzie, ucieka z domu, z marzeniem próżnem poznania, chociażby za cenę śmierci, rozkoszy uczucia. Autor wikła wszystko teoryą zwyrodnienia, którą zastosowywa do Roberty.

Nauka tego rodzaju wywiera niewątpliwie wpływ zgubny na literaturę i sztukę. Jej spostrzeżenia muszą z konieczności być cząstkowe, gdyż od tego zależy ich ścisłość i wartość. Syntezy ogólnej w rzeczach antropologicznych i społecznych ona nam jeszcze dać nie może. Jeżeli zaś, pędzona pokusami reklamy i powodzenia, daje pospieszną, to daje coś niesłychanie brzydkiego. W jednym i drugim wypadku literatura na związku z taką „nauką,“ jaką Lombroso daje, może tylko stracić. To zwyrodnienie i newroza jest stanowczo plagą wszystkich obecnych powieści włoskich.

Z drugiej strony literatura nietylko we Włoszech, ale i we Francyi, a może i w Europie całej przechodzi głęboki przełom moralny. Jest to wszakże tylko dowód, iż pod parciem demokracyi wyższe, zdolniejsze rasy chorują i zanikają. Takie ogólne w tej dziedzinie znużenie i wykolejenie nie może być rzeczą przypadku. Jest ono wskazówką, iż równowaga społeczna na tym punkcie stosunków między rzemiosłem a geniuszem naruszona została. Myśliciel jednak powinien widzieć w tem zbawienny krzyk alarmu. Gdyby artyści, pod ciężką stopą słoniów, która ich dławi, zachowywali się spokojnie, wyduszonoby ich po cichu i nieby z nich nie pozostało, ze szkodą dla przyszłych pokoleń. Natomiast ich jęki, ich chorobliwe majaczenie może pobudzi społeczeństwa do opamiętania się i zwrócenia nareszcie należytej uwagi na tę kwestyę rasową i antropologiczną, która jest nie mniej ważną, niż inne, chociażby nawet i czysto ekonomiczne.

Dr. L. Winiarski.



POEZYE

H. HEINE.

Z pieśni Łazarza.

Jakżeż powolnie czołga się czas
Ten ślimak straszliwy, potężny! —
Ja jednak w miejscu zostaję wciąż:
Jam całkiem się stał niedołężny.

Promień nadziei, słoneczny blask
Nie zejdą już w celi mej cienie, —
Wiem, że jedynie na wązki grób
Ten pokój fatalny zamienię.

A możem nawet już dawno zmarł, —
I tylko gdy północ nastawa,
Do mego mózgu ciśnie się wraz
Widziadeł procesya jaskrawa?

Może to widma pogańskich bóstw...
Na mocy tajemnych dekretów
One wszak lubią zwoływać zbór
Do czaszek umarłych poetów.

Ich orgij słodkich straszliwy czar
W tem miejscu, dla duchów wybranem,
Czasami martwa poety dłoń
Opisać się kusi nad ranem.

Przeł. *Leo Belmont.*

W DALI.

Kalisz. *Gazeta Kaliska* zamieściła list następujący, który podajemy bez komentarzy: „Będąc zmuszony przebywać z choremi dziećmi u doktorów we Wrocławiu i wyjeżdżając 18-go grudnia r. z. do domu, poszedłem z żoną kupić pantofle dla dziecka, gdyż z powodu spuchniętych nóg nie mogło włożyć kamaszy. Zauważywszy na ul. Ohlauer pod nr. 82 sklep z samymi pantoflami Karola Zweig, weszliśmy kupić i kiedy z żoną rozmawiamy po polsku, sam właściciel Zweig z piorunującem wejrzeniem wyskoczył do nas z za kontuaru i głosem podniesionym zaczął krzyczeć: „Tu nie Polska, tu Niemcy; nie wolno mówić po polsku, zakazuję, wynoście się ze sklepu!“ Naturalnie nie żałowałem języka i dałem mu uczuć jego grubiaństwo, lecz ten, nie dając za wygraną, uciekł za kontuar i już ochrypłym głosem od złości krzyczał tylko: „wynoście się!“ Fakt powyższy tak znajomym osobom, jak i kupcom Polakom opowiedziałem, którzy poinformowali mię, że ów Niemiec jest zaciekłym hakatystą.— Tadeusz Rembowski.“

Wilno. D. 18 kwietnia zmarł dr. Hipolit Jundziłł, człowiek wielce zasłużony, pożyteczny i szanowany powszechnie. W Wilnie się urodził i nauki gimnazyalne skończył, następnie, po skończeniu uniwersytetu w Jurjewie, osiadł w mieście rodzinnem i wyrobił sobie wielką praktykę; zasłynął jako pierwszorzędny operator. Prawie ćwierć wieku był członkiem miejscowego Towarzystwa lekarskiego, które istnieje już 93 lata. W r. 1877—78 był sekretarzem tej instytucyi, a 1891—92 wiceprezesem, wreszcie został prezesem i przyczynił się niemało do rozwoju ogniska spraw medycyny. Był nadto od lat 11 lekarzem naczelnym szpitala Sawicz (założonego w r. 1744 przez biskupa Gąsiewskiego). Poza swoją specyalnością brał żywy udział w sprawach społecznych i humanitarnych. W Towarzystwie dobroczynności był zastępcą dyrektora 3-go wydziału (pomocy lekarskiej).

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Ministeryum spraw wewnętrznych zatwierdziło ustawę Towarzystwa wzajemnej pomocy nauczycieli chrześcian, pracujących w Łodzi i okolicy.

— Senat wyjaśnił, że dzieci Żydów, wykupujących świadectwa I-ej gildyi i zaliczonych do ludności miast, leżących po za obrębem prawa pobytu Żydów — mogą mieszkać wszędzie.

Szkoły. Komitet politechniki warszawskiej, stworzony przez J. O. Ks. Imeretyńskiego, odbył pierwsze posiedzenie organizacyjne.

Sądy. Dn. 26 b. m. II departament karny izby sądowej warszawskiej przystąpił do rozpoznania sprawy inspektora podatkowego, radcy stanu Kafafowa, oskarżonego wespół z Wegmajstrem o nadużycie w urzędzie. Sprawę wywołała skarga zarządu Towarzystwa akcyjnego fabryk żyrardowskich, w której wyłuszczono, iż inspektor podatkowy okręgu skierniewicko-błońskiego zarzucał Towarzystwu zatajenie kilku milionów rubli od podatku 5-procentowego na rzecz skarbu w ciągu lat ośmiu. Następnie oświadczył pomocnikowi dyrektora Towarzystwa, p. Kossuthowi, że zrzeka się ujawnienia tej sprawy, jeżeli otrzyma odpowiednią „kompensatę,“ której rozmiarów bliżej nie określił. W dalszym ciągu prowadził układy z dyrektorem, p. Bekmanem, którego chciał przestraszyć odczytaniem raportu, opracowanego w tej sprawie dla zarządu izby skarbowej. W połowie kwietnia r. 1894 zgłosił się do p. Bekmana Wegmajster z propozycyą swego pośrednictwa pomiędzy zarządem fabryk żyrardowskich a inspektorem podatkowym, który miał tę całą sprawę umorzyć po otrzymaniu sumy odpowiedniej. P. Bekman oświadczył, że inspektor we wrześniu r. 1893 zażądał od Towarzystwa wykupienia znacznie większej ilości świadectw gildyjnych i dowodów dla subjektów. Chociaż żądanie to było przesadzone, dyrektor spełnił je, dla świętego spokoju. Gdy jednak Kafafow zaczął żądać od Towarzystwa udzielania sobie takich wiadomości, do jakich nie miał prawa z urzędu inspektora podatkowego, postanowiono z nim się „porozumieć,“ zapomocą 2,000 rs. Następnie Wegmajster zażądał w imieniu Kafafowa 40,000 rs. Na zasadzie powyższych danych i zgodnie z postanowieniem połączonego kompletu I-go i karnego kasacyjnego depart. senatu rządzącego, Kafafow i mieszkaniec Warszawy, Mojżesz Wegmajster, oddani zostali pod sąd.

— *Warsz. Dniew.* Zapewnia, iż podprokurator Kilsztet wniesie do senatu protest przeciwko wyrokowi warszawskiej izby sądowej w sprawie Hermana i innych.

Koleje i komunikacye. Obecnie pociągi na kolei Syberyjskiej dochodzą już do stacyi Kluczewskaja w gub. Krasnojarskiej. Stamtąd pociągami roboczymi można dojechać bezpłatnie do stacyi Tułanskaja, położonej w gub. Irkuckiej, a odległej od Irkucka tylko o 359 wiorst.

— Dochód kolei Wiedeńskiej z r. 1897 powiększył się o 400,000 rs. w stosunku do r. 1896. Podobno przewyżka ta pochodzi w pewnej części z zatamowania przewozu pasażerów bez biletów tudzież ukrócenia działalności przekupniów, prowadzących handel biletami strefowymi i sezonowymi.

— *Now. Wr.* pisze „Dostarczono nam dwu rozkazów naczelnika kolei Warszawsko-Terespolskiej, inżeniera Kajanusa, z d. 22 stycznia r. b. st. st. nr. 819 i z. d. 3 maja r. z. st. st. nr. 54 (26), przyczem pierwszy jest tylko powtórzeniem drugiego. Świadczą one, że używanie języka państwowego na kolejach Nadwiślańskich wymaga podawnemu surowej i bacznej opieki. Rozkaz z d. 22-go stycznia opiewa: ostatnimi czasy dostrzeżono, iż wielu urzędników pozwala sobie nietylko w stosunkach z publicznością, lecz *nawet pomiędzy sobą*, podczas spełniania obowiązków służbowych, nie wykonywać rozporządzenia ministra komunikacyi z d. 12-go maja st. st. 1889 r. Skutkiem tego inżenier Kajanus prosi naczelników służb i wydziałów, aby włożyli na swoich podwładnych obowiązek ściśle i nieuchwianie wypełniać rzeczone rozporządzenie ministra komunikacyi, uprzedziwszy ich, iż winni niewykonywania rozporządzeń rządowych będą niezwłocznie uwalniani ze służby.“

Wyjaśnienie. Z powodu naszej notatki w „Pamiętniku“ p. t. „Wzór wyzysku,“ p. Sonenfeld wyjaśnia, iż nie jest autorem sławnego wzoru umowy.

Zagadka. Zdumiewający objaw bezkarności spekulantów, budujących domy, trwa w najlepsze w dalszym ciągu. Jeszcze nie zapomniano o katastrofie przy ulicy Żórawiej, gdy oto znowu czytamy w *Kuryerze Warsz.* następujące szczegóły: „Zeszłej soboty. z rozporządzenia władzy policyjnej i komisyi budowlanej, przerwano roboty około wznoszenia

4-piętrowej kamienicy nr. 28 przy ul. Ogrodowej. Dom ten, należący do Jzraela Wagnera, zaczęto stawiać w podwórzu na jesieni r. z. i tak pospiesznie prowadzono roboty, ażeby już od lipca r. b. powynajmować mieszkania. Zdaniem komisyi, przytoczonem w *Warsz. Dzienn.*, cała budowla, już teraz wykrzywiona, grozi runięciem. Wobec tego zamknięto dostęp do domu, a mieszkańcom sąsiedniej oficyny kazano się wyprowadzić. Kamienicę wzniesiono z najlichszego gatunku cegły; mury są wewnątrz puste i wypełnione gruzem ceglanym, ściany wewnętrzne są albo drewniane, albo tak cienkie i tak sklecone, że przepuszczają światło. Na fundamenty użyto również w sporej mierze cegły z rozebranych gdzieindziej budowli." Pozostaje niewytłomaczoną zagadka, jakim sposobem potworne nadużycia spekulacyjne uszły uwagi komisyi budowlanej w trakcie prowadzenia robót? Zdaje się, że takich zagadek będzie jeszcze sporo do rozwiązania...

Katastrofa. Na linii kolei Północnej Ferdynanda, wiodącej z Wiednia do Krakowa, spotkały się pociągi. Jeden konduktor zabity, kilku podróżnych pokaleczonych.

Zmarli. Michał Mosiolek, w Wysokiej pod Szydłowcem, włościanin, który pisywał dla ludu powiastki i artykuły pod pseudonimem M. Radomczyka. Zabierał także nieraz głos w kwestyach społecznych i ekonomicznych na szpaltach pism nieludowych. Jako człowiek, odznaczał się charakterem prawym i szlachetnym.

— Emilia Dukszyńska, w Warszawie, artystka-malarka. Jej prace pastelowe a następnie olejne zyskały uznanie i powodzenie.

— Dr. Władysław Ostrożyński, we Lwowie; adwokat i profesor austryackiego prawa karnego. Napisał sporo prac z zakresu umiejętności prawnych; zasilał *Gazetę Sądową* w Warszawie.

— Michał Uda, dramatopisarz i krytyk włoski w Neapolu; w ostatnich czasach zapomniany.

Odpowiedzi Redakcyi.

S. C. Jeżeli to jest prawdą, że do kościoła św. Aleksandra nabyto organy w Niemczech, zamiast w kraju — to czyn taki byłby wart nagany. Ale skądże możemy mieć pewność, że go istotnie spełniono, skoro Pan listu swego nie podpisał?

Pani Maryi Wrzeszcz. Przesłane przez Panią po zamknięciu składek rs. 6, wnieśliśmy do kasy Kolonij letnich.

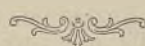
W. W. ...ski. Morał w rymach, ale nie poezya.

S. L. Ten „fant" trzeba wrzucić do kosza. Nie ma on żadnej wartości artystycznej. Chociaż to drobiazg, zwracamy Panu uwagę, że w rękopisie jest dużo błędów ortograficznych (*rządna* sławy, *dźwi* itp.).

Niepodpisanemu. Znowu doniesienie bezimienne. Jakże my możemy ogłaszać dowody wyzysku pracowników ze strony firmy fotograficznej Sig., kiedy nie wiemy, kto nam je przesyła?

Panu W. N. Za dużo okropności zgromadził Pan w swych „pałkach."

S. Z. Artykuł ów był zamieszczony w *Neue Zeit*.



OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 17 Апрѣля 1898 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.